

A 2897 II

Oct. 15

This image shows a blank, aged, cream-colored page, likely an endpaper or flyleaf from an old book. The paper has a slightly textured appearance with some minor creases and discoloration, characteristic of old paper. There are faint, illegible markings scattered across the page, which appear to be ink bleed-through from the reverse side. A small, dark, rectangular object, possibly a piece of tape or a small stain, is visible near the top center of the page. The overall tone is warm and slightly yellowed, consistent with the age of the paper.

**MAGAZYN
PROBLEMOWO-
INFORMACYJNY
POLITECHNIKI
WROCŁAWSKIEJ**

DYDAKTYKA I WYCHOWANIE

NOWE ZADANIA

W lutym br. odbyła się w Politechnice Wrocławskiej narada dyrektorów instytutów, dziekanów i kierowników innych komórek Szkoły na której J.M. Rektor wygłosił referat dotyczący nowych zadań w dziedzinie dydaktyki i wychowania. Naradę tą poprzedziły zebrania pracowników instytutów, na których omawiano materiały z narady. Waga omawianych zagadnień jest tak duża, że powinni być z nimi zapoznani wszyscy członkowie społeczności uczelnianej.

Poniżej drukujemy fragmenty referatu J.M. Rektora, z konieczności ograniczając się do najistotniejszych spraw w nim poruszanych.

Działalność dydaktyczna

(Niektóre elementy oceny realizacji procesu dydaktycznego)

Do osiągnięć szkoły w ostatnim okresie czasu w dziedzinie dydaktyki zaliczyć należy:

1) Stworzenie elastycznej, i jak się wydaje, nowoczesnej koncepcji kształcenia na studiach dziennych.

2) Podjęcie prac związanych z właściwym ukształtowaniem koncepcji studiów dla pracujących oraz studiów podyplomowych (oba te zagadnienia opracowane będą jeszcze w bieżącym roku akademickim w postaci pełnych koncepcji).

3) Poważny wzrost ilości wydawanych przez Politechnikę pomocy dydaktycznych. Wydajemy rocznie przeszło 80 skryptów, co stawia nas w tej sferze działalności na przodującej pozycji wśród uczelni technicznych w Polsce.

4) przystąpienie do kompleksowej modernizacji laboratoriów dydaktycznych. Należy sądzić, iż do końca 1975 roku pierwszych 10 nowoczesnych laboratoriów zostanie oddanych do użytku. W latach następnych przewiduje się intensyfikację prac związanych z tymi zadaniami, do czego przyczynić się powinno poprawienie warunków pracy ZANiD-u i stworzenie możliwości rozbudowy tego zakładu.

5) Zmodernizowanie 6 sal wykładowych i wyposażenie ich w telewizję przemysłową. Należy mieć nadzieję, iż umożliwi to istotnie wzbogacenie treści zajęć wykładowych.

6) Wprowadzenie zasady racjonalnego opracowania rozkładów zajęć, gwarantujących studentom odbywanie zajęć przed, bądź po południu. Wprowadzenie wolnej od zajęć dydaktycznych soboty, co umożliwiło studentom właściwy wypoczynek oraz przygotowanie się do zajęć, zaś w sposób zdecydowany uporządkowało działalność uczelni w dziedzinie organizacji zebrań, seminariów naukowych itp.

7) Nastąpił w tym okresie wzrost wymagań stawianych studentom i pracownikom w procesie dydaktycznym. Przysłużyły się temu procesowi jasno określone zasady działania i wymagań.

8) Osiągnięto lepszą selekcję kandydatów na studia przez prawidłowo zorganizowane egzaminy wstępne.

9) Doprowadzono w 25 instytutach na 28 do osiągnięcia koniecznej liczby pracowników naukowo-dydaktycznych. Pod tym względem ze wskaźnikiem 6 studentów na 1 pracownika naukowo-dydaktycznego Politechnika Wrocławska znajduje się na pierwszym miejscu wśród uczelni technicznych.

Wynikiem tych działań jest stały wzrost sprawności nauczania zarówno na studiach dziennych jak i dla pracujących. Na podkreślenie zasługuje fakt, iż wzrost ten osiągnęliśmy bez jakichkolwiek nacisków administracyjnych. Moż-

na również wyrazić pogląd, iż wzrost sprawności nauczania nastąpił bez obniżenia istniejącego dotychczas poziomu nauczania. Aktualnie w terminie kończy studia na studiach dziennych 64% studentów, co należy do najwyższej sprawności nauczania wśród uczelni technicznych w Polsce.

Zadania

Na tle tych pozytywnych osiągnięć i mankamentów w procesie dydaktycznym sprecyzować można najbliższe zadania szkoły w sposób następujący:

1) W okresie bieżącego roku akademickiego zakończone powinny być prace nad modelem studium specjalizującego w instytutach. Programy nauczania dla tego studium opracować należy do końca roku kalendarzowego. W roku 1976 przystąpić należy do opracowania niezbędnego zestawu pomocy dydaktycznych dla studium specjalnościowego (skrypty, zbiory zadań itp.).

2) Dla studium podstawowego, którego model należy uznać za zdefiniowany, najpilniejszym zadaniem jest przygotowanie skryptów i zbiorów zadań niezbędnych do jego realizacji. Kierownictwo uczelni jest zdecydowane egzekwować od wszystkich pracowników, którym powierzono prowadzenie poszczególnych przedmiotów, opracowanie tych pomocy naukowych w możliwie najkrótszym czasie. Zlecenia w tej sprawie adresowane do konkretnych osób przekazane zostaną do właściwych instytutów. Uczelnia jest gotowa udzielić temu zadaniu szczególnych preferencji w postaci zwolnień pracowników od zajęć organizacyjnych, dydaktycznych oraz szczególnych preferencji finansowych.

3) W oparciu o plan obowiązujący na studium podstawowym i na studium specjalizującym, instytuty przystąpią do sporządzenia planów rekonstrukcji laboratoriów dydaktycznych. Większość tych laboratoriów powinna być gotowa na czas.

4) W bieżącym roku akademickim zostanie również opracowany nowy model studiów dla pracujących. Do końca roku 1975 zakłada się opracowanie planów i programów studiów wg nowych założeń. Model ten będzie wymagał opracowania odrębnych pomocy dydaktycznych w postaci skryptów itp. Opracowywanie tych pomocy powinno rozpocząć się w roku 1976.

5) Opierając się na nowych programach i planach studiów dziennych i dla pracujących, zadbać należy, aby każdy wykład lub seminarium prowadzone mogło być przez 2-3 pracowników. Równocześnie zagwarantować należy opracowanie planu działania, który by spowodował przygotowanie pracowników do prowadzenia kilku przedmiotów realizowanych przez instytut. Powinniśmy w ten sposób zerwać z bardzo wąską specjalizacją dydaktyczną pracowników.

6) Istotnego polepszenia wymaga dyscyplina pracowników w realizacji procesu dydaktycznego. Zobowiązuje się kierownictwa instytutów, a zwłaszcza zastępców dyrektorów do spraw dydaktyki do ścisłego i systematycznego wypełniania zadań w zakresie merytorycznej i formalnej kontroli realizacji procesu dydaktycznego i wychowawczego. Każdy przypadek nieodbycia zajęć lub innego rażącego naruszenia dyscypliny prowadzenia zajęć powinien być zgłoszony do pionu toku studiów z podaniem przyczyny zaistnienia. W stosunku do osób, które zaniedbują obowiązki odbycia zajęć, spóźniających się na zajęcia jak i tych, które fakty te tuszują, wyciągane będą konsekwencje służbowe. Konsekwentne egzekwowanie wymagań dyscypliny zajęć dydaktycznych konieczne będzie tak długo, dopóki świadomość potrzeby jej przestrzegania nie będzie w naszej społeczności powszechna.

7) Instytuty zwiększą nakład pracy i poświęcą większą uwagę doskonaleniu dydaktycznemu pracowników naukowo-dydaktycznych (szczególnie młodszych). Nakłada się na instytuty obowiązek zorganizowania wewnętrznego seminarium, którego celem byłoby podniesienie kwalifikacji dydaktycznych pracowników. Seminarium to powinno być trwałą zasadą w instytucie, a przejście tego seminarium warunkiem awansu na kolejne stanowisko. Równocześnie obok tego seminarium należy przewidzieć w instytucie uruchomienie monograficznych wykładów z różnych dziedzin, które przyczyniłyby się do poszerzenia wiedzy pracowników naukowo-dydaktycznych z zakresu własnej i pokrewnych dziedzin naukowych.

8) Kierownictwa instytutów spowodują aktywizowanie, począwszy od bieżącego semestru, zespołów dydaktycznych (przedmiotowych) oraz instytutowych komisji hospitacyjnych. Sugeruje się rozważenie celowości opracowania na początku semestru planu hospitacji zajęć prowadzonych zwłaszcza przez najmłodszych pracowników, hospitacji o charakterze nie tyle kontrolowanym, co raczej szkoleniowym.

9) Wobec wprowadzonego obowiązku ankietowania zajęć prowadzonych przez wszystkich pracowników naukowo-dydaktycznych poleca się wyniki tych ankiet szczególnej uwadze kierownictwa instytutu. Podkreślić należy, iż ankiety te nie mają na celu dyskredytowania pracownika, mają one być pomocą w określeniu kierunku doskonalenia trybu prowadzenia tych zajęć przez pracownika. Wszyscy jesteśmy świadomi, iż z wyników ankiet korzystać należy z dużą ostrożnością.

10) Począwszy od bieżącego semestru każdemu studentowi przysługiwać będzie prawo do wykorzystania maszyn cyfrowych w ośrodku obliczeniowym przez 15 minut rocznie — poza okresem korzystania z nich w ramach zorganizowanych zajęć. W najbliższym czasie dziekan po otrzymaniu wytycznych w tej sprawie ustali w porozumieniu z instytutami, w ramach których przedmiotów zalecać się będzie studentom wykorzystanie tej możliwości.

11) Szczególną troską należy otoczyć również studia doktoranckie prowadzone przez instytut. Dobre wykształcenie na tych studiach przyszłych kandydatów na adiunktów, przygotowanie ich do podejmowania zadań dydaktycznych, jest czynnikiem, który istotnie będzie ważył na organizacji procesu dydaktycznego w najbliższej przyszłości.

12) Wprowadza się obowiązek konsultacji dla studentów, szczególnie w ostatnich 3 tygodniach trwania semestru.

Kierownictwo uczelni jest przekonane, iż podjęcie nowych zadań dydaktycznych, a szczególnie nacisk na poprawne ich realizowanie jest koniecznością, warunkującą poprawny rozwój Politechniki Wrocławskiej. **Wszelkie formy wyróżnień, awansów oraz prawo do wykonywania prac zleconych w ramach działalności szkoły na rzecz przemysłu, będą znacznie ściślej uzależnione od tej pory od rzetelnej pracy dydaktycznej i wychowawczej pracowników naukowo-dydaktycznych.**

Działalność wychowawcza

W 1970 roku przyjęliśmy w uczelni następujące założenia w dziedzinie organizacji pracy wychowawczej:

1) Podstawowym ogniwem działalności wychowawczej stała się grupa studencka. Ułatwieniem w prawidłowej organizacji tej działalności jest fakt, iż studenci od pierwszego roku studiów są przekazywani pod opiekę instytutów oraz to, iż SZSP dostosowało swoją strukturę organizacyjną do ogólnie przyjętej w szkole. Inspiratora pracy z ramienia instytutu widziano w osobie opiekuna grupy.

2) W sprawnej i konsekwentnej organizacji procesu dydaktycznego dopatrywaliśmy się możliwości kształtowania rzetelnego stosunku studentów do ich obecnych i przyszłych obowiązków zawodowych, wyrobienia w nich poczucia punktualności i terminowości realizacji obowiązków. W procesie

dydaktycznym pragniemy również kształtować ich krytyczny stosunek do obecnego stanu wiedzy i techniki. W końcu kontakt pracownika ze studentem w procesie dydaktycznym powinien być wzorem przyszłego postępowania naszej młodzieży.

3) W procesie pozadydaktycznym zakładaliśmy realizację form pracy mającej na celu ukształtowanie właściwej postawy ideowej, moralnej i politycznej studentów, rozbudzenie w nich szerszych zainteresowań kulturalnych i społecznych.

Osiągnięcia...

D o istotnych osiągnięć w minionym okresie w dziedzinie pracy wychowawczej zaliczyć należy:

— powierzenie określonej grupie pracowników zadań wychowawczych, czyli stworzenie tak zwanego aparatu wychowawczego;

— lepsze obecnie współdziałanie uczelni z organizacją młodzieżową — SZSP, w dziedzinie realizacji zadań wychowawczych;

— sprawdzenie się założeń dotyczących funkcji pełnomocnika d/s studenckich w instytucie;

— uzyskanie doświadczeń w dziedzinie organizacji pracy opiekuna grupy.

Należy jednak stwierdzić, iż główne ogniwo pracy wychowawczej wymaga dalszego doskonalenia. Program wychowawczy w grupie studenckiej, oddziaływanie opiekuna na ten program pozostawia nadal wiele do życzenia. Podkreślić należy również, że w małym stopniu udało się zrealizować zadanie bliźszego kontaktu ogółu pracowników naukowo-dydaktycznych ze studentami w procesie pozadydaktycznym.

...i zadania

D o głównych zadań na najbliższy okres zaliczyć należy:

1) Konieczność zwiększenia roli opiekuna grupy jako rzeczywistego przyjaciela i opiekuna młodzieży studiującej, znającego głęboko wszystkie jej problemy i pomagającego skuteczną radą i innym działaniem usuwać trudności, na jakie młodzież napotyka w trakcie studiów na Politechnice Wrocławskiej.

2) Program oddziaływania wychowawczego musi być wzboğacony o organizację licznych spotkań z wybitnymi pracownikami naukowo-dydaktycznymi instytutów.

3) Nałożenie na wszystkich młodszych pracowników naukowo-dydaktycznych Politechniki Wrocławskiej obowiązku podjęcia funkcji opiekuna grupy lub też określonej działalności studenckiej w instytucie. W tym celu przewiduje się kierowanie na opiekunów danej grupy studenckiej 2-3 osób, z których jedna będzie pełnił rolę koordynatora. **Pełnienie funkcji opiekuna grupy lub prowadzenie innej formy działalności studenckiej w instytucie traktowane będzie od tej pory jako warunek kolejnego awansu**

4) Wspólnie z organizacją SZSP należy w instytutach opracować plan intensyfikacji działalności kulturalno-sportowej i turystycznej wśród młodzieży.

5) Szczególną uwagę kierownictwo uczelni przykładają do wnoszonych przez młodzież zastrzeżeń, dotyczących zarówno procesu dydaktycznego jak i wychowawczego. Uwagi młodzieży w tej sprawie powinny być przekazywane całemu kierownictwu instytutów i dziekanom wydziałów oraz kierownictwu szkoły.

6) Uaktywnienia i szczególnej opieki wymagają działające przy instytutach koła SNS. Zaleca się rozważenie kierownictwom instytutów włączenia wszystkich członków kół SNS do działalności naukowej instytutów, szczególnie powinno to mieć miejsce w stosunku do studentów lat starszych.

7) Ważnym czynnikiem w organizowaniu procesu wychowania jest również uaktywnienie młodzieży w dziedzinie jej społecznego wkładu na rzecz rozwoju szkoły i miasta. Doświadczenia wynikające z organizacji prac społecznych w ubiegłym roku kalendarzowym wskazują na potrzebę i możliwość organizowania tego typu prac.

Przedstawione, z natury rzeczy w skrócie, zadania Politechniki Wrocławskiej na najbliższy okres w dziedzinie organizacji dydaktyki i wychowania wymagać będą bezsprzecznie większego wysiłku wszystkich pracowników szkoły. Wyraża się przekonanie, iż cała społeczność Politechniki Wrocławskiej ze zrozumieniem podejmie swoje nowe obowiązki.

Od kilku lat obserwujemy zalew publikacji na temat rewolucji naukowo-technicznej. Zjawisko to może być objaśniane zarówno pragnieniem zrozumienia sytuacji, w jakiej znajdują się dzisiejsze społeczeństwa, jak i jako odbicie niepokojów tą sytuacją wywołanych. Niepokojów — dotyczących najprzeróżniejszych stron współczesności: gospodarczych, technologicznych, ideologicznych i politycznych.

Co myślą o tym studenci politechniki? Jak patrzą na siebie samych i przeobrażającą się wokół nich rzeczywistość? Jak oceniają intelektualne wytwory mówiące o rewolucji naukowo-technicznej? — Te i podobne im pytania były powodem pisemnego sondażu przeprowadzonego w środowisku naszej uczelni. Najciekawsze wypowiedzi — autorstwa słuchaczy III roku Budownictwa Lądowego — przedstawiamy w tym numerze naszym czytelnikom. Osnową prezentowanych tu wypowiedzi jest sławna książka — „CYWILIZACJA NA ROZDROŻU”, która przed paroma laty znalazła się na księgarskich półkach. Jej autorzy — wybitni uczeni czechosłowaccy, kierowani przez Radovana Richtę starali się sygnalizowane tu problemy przedstawić możliwie najpełniej i najatrakcyjniej. Co o tym studenci — poniżej.

J.K.

Rewolucja naukowo-techniczna wpływa na rozwój społeczny, tzn.: 1. nauka i jej zastosowanie dynamizuje i potęguje podstawy całego ludzkiego życia,

2. zmusza do włączenia całej sfery życia ludzkiego do postępu cywilizacji.

Inaczej mówiąc, rewolucja naukowo-techniczna zmienia tryb życia, pracy, osobowość, stosunki między ludźmi itp.

Zmiany te, obiektywnie rzecz biorąc, jak sądzą autorzy, zorientowane są na wyzwolenie twórczych możliwości człowieka: działalność twórcza przesycona nauką zakłada zawsze we wszystkich swych formach i zastosowaniach rozwój ludzkich zdolności, wywołuje go, a równocześnie stale zmusza do niego na najszerzej podstawie. W tym sensie rewolucja naukowo-techniczna po raz pierwszy w bezpośredniej rzeczywistości podnosi ogólny rozwój społeczny człowieka i w wszystkich jego sił do rangi warunku postępu produkcyjnego (...)

Autorzy sądzą, że sytuacja, w której osiągnięcia techniczne będą spełniać swoją właściwą rolę, tzn. będą środkami wyzwolenia człowieka od czynności czysto mechanicznych, będzie społeczeństwo komunistyczne. Cała praca poświęcona jest analizie tych warunków, które wykorzystują osiągnięcia rozwoju techniki dla wyzwolenia możliwości człowieka. Dokonują tego poprzez szczegółowe analizy istoty pracy, istoty działalności człowieka, istoty czasu wolnego w koncepcji Marksa. Jednakże — jak się wydaje — praca nie daje jasnej odpowiedzi na pytania:

1. co to jest twórczy charakter pracy,

2. w jaki sposób nauka demonstrowa

ten twórczy charakter (czy specjalizacja sprzyja realizacji twórczości czy nie),

3. dlaczego nauka przyczynia się do możliwości ujawnienia zdolności twórczych.

Te same pytania możemy odnieść i do techniki.

4. Dlaczego rozwój strefy produkcji (zastosowanie nowych technik) miałoby się przyczynić do ogólnego podnoszenia poziomu kultury społeczeństwa, tzn. czy obfitość dóbr jest równoznaczna z tym, że ludzie którzy z nich korzystają stają się bardziej wykształceni, wrażliwi, moralni?

Sądzę, że na pytanie pierwsze najogólniej rzecz biorąc można odpowiedzieć stwierdzeniem, że charakterystyczną cechą twórczości jest nowość i unikalność produktu działalności. Problem zaś dostrzegam w tym, że inżynier projektujący coś lub sterujący skomplikowanym automatem jeszcze niczego nie tworzy, lecz reprodukuje!

Dostrzegam również problem w tym, że rozwój nauki i techniki pogłębiający specjalizację nie tyle poszerza horyzonty myślowe ile je ogranicza. Tym samym różnorodności kultury stają się w ogóle nierozpoznanymi przez poszczególne jednostki.

ZBIGNIEW WÓJCICKI

Autorzy przedstawili zgrabną koncepcję cywilizacji przyszłości, jednak nie aż tak dalekiej przyszłości jakby wynikało z ich zamiarów. Moje wyobrażenie o tej nowoczesnej cywilizacji nie różni się jednak diametralnie od wizji jaką posiadałem wcześniej. Cóż, stworzymy nowe, technicznie da-

leko zaawansowane warunki dla człowieka, który przechodzi biologiczne stadia rozwoju takie jak ludzie cywilizacji dawnych. Będzie to moja myśl przewodnia we własnym odmiennym spojrzeniu na sprawę „rozwoju człowieka”. Szeroka, różnorodna postawa w odpowiedzi na śmiało i przekraczające wyobrażenia przeciętnego człowieka zdobywcze nauki i techniki, będzie wymagała od niego wzmoczonej koncentracji, lepszego wyczucia tempa przemian, lepszego, bezbłędnego reagowania na wszystkie nowości, które zwane są przyjemnością, obce przerażają i wprowadzają w stan głębokiej frustracji. Człowiek tworzący drobny i zawsze ważny szczegół w całej maszyniarce społecznej i gospodarczej, podlegający prawom socjologicznym i psychologicznym, będzie starał się za wszelką cenę uporządkować się wewnętrznie. Dla mnie to jest cudowne i jakże podobne do biegu, dziwnego wyścigu.

Subiektywne odczucie, że trzeba przędzej, przędzej, będzie współgrać z rozkręcającą się maszyną społeczną, ona również woła przędzej, przędzej. Może dojdą inne zawołania: dokładniej, dokładniej. Wołać będzie człowiek do siebie i wołać będzie rozbudowany techniczny świat do człowieka: dokładniej, dokładniej. Ktoś zauważy: krócej, i obróci wszystkich w tym kierunku...

To jest to moje indywidualne spojrzenie, proste w swej formie i przemawiające do każdego. I cóż, w świecie wymyślonym tak sprytnie, jak działanie bumerangu każda myśl będzie wracać do myślącego, świat danej jednostki, jego subiektywne spojrzenie na świat, będzie powracał, wymagał tego, czego

on żąda od świata. Powrócę na chwilę do słów autorki książki. Oni wszyscy odczuwają wielkie skrepowanie jakie stwarza technika, zauważają i analizują bardzo wnikliwie, że nie służy człowiekowi tak jak tego pragnie. Autorzy ci upatrują sukces w rozwoju, dalszym zawrotnym rozwoju. Nie wiem, czy jest to jedyny sposób prowadzący do wyzwolenia się człowieka spod technicznego jarzma. To ono wzmacnia wyśiłki człowieka, ale tylko do pewnej granicy.

Nowoczesna cywilizacja będzie inna niż w chwili obecnej, nie wiem czy dzięki niej człowiek stanie się szczęśliwszy od Greków czy Rzymian.

JACEK GRANICKI

Hipotezy i teorie wykładane przez autorów *Cywilizacji na rozdrożu* są moim zdaniem słuszne i uzasadnione. Tym niemniej uważam, że zastosowanie skondensowanego (zresztą sami autorzy podkreślają to w przedmowie do wydania III) języka czyni książkę mało przystępną, a nawet mało ciekawą dla czytelnika stojącego poza kręgiem ludzi „zawodowo zainteresowanych” problemami rewolucji naukowo-technicznej. Oczywiście podstawowe problemy związane z rewolucją naukowo-techniczną są zrozumiałe. Oczywiście jest wpływ dynamicznie rozwija-

jącej się nauki na pozostałe dziedziny życia współczesnej cywilizacji i jej bezpośrednie powiązania z techniczną stroną produkcji. Zdaniem autorów, rewolucja naukowo-techniczna stwarza człowiekowi niespotykane dotąd możliwości. Upraszcza sposoby porozumiewania się poprzez wprowadzenie nowoczesnych środków telekomunikacji i in. Podobno w ciągu najbliższych dwudziestu lat wszystkie gospodarstwa domowe w państwach gospodarczo wysoko rozwiniętych zostaną objęte telefonizacją (jest to niewątpliwie optymistycznym akcentem dla mieszkańców wielu miast w naszym kraju). Inną zaletą rewolucji naukowo-technicznej będzie stworzenie ludziom znacznie większej ilości tzw. „wolnego czasu” poprzez odśnięcie człowieka od bezpośredniej sfery produkcji i zastąpienie jego pracy urządzeniami znacznie wydajniejszymi, a co z tym idzie w parze, przez znaczne skrócenie czasu pracy. Stworzy to możliwość przeznaczania większej ilości czasu na samokształcenie i korzystanie z dóbr kulturalnych. Autorzy sugerują tutaj centralistyczne ukierunkowanie potrzeb kulturalnych jednostki. Wskazanie jej, a nawet przyzwyczajanie do wykorzystywania wartościowych twórczych działalności kulturalnej człowieka. Uważam, że jest to nieludzkie, bo trudno w tej sferze dążyć do wytworzenia jakiegoś znormalizowanego modelu „odbierania” kultury. Poza tym należy liczyć się z różnym poziomem odbiorców, co chyba stwarza konieczność pewnego stopniowania i różnorodności ofe-

rowanych dóbr kulturalnych. Optymizmem napawa fakt (w przeciwieństwie do rewolucji przemysłowej) adaptacji środków produkcji do potrzeb człowieka. Realizowane jest to poprzez różne formy działalności, których przykładem może być ergonomia mająca na celu stworzenie człowiekowi optymalnych warunków pracy.

Inną zaletą rewolucji naukowo-technicznej jest (dzięki wprowadzeniu komputeryzacji i centralnego systemu zarządzania) lepsze wykorzystanie środków jakimi dysponuje społeczeństwo i dokładne rozeznanie możliwości oraz potrzeb. Rewolucja naukowo-techniczna okazuje się również warunkiem zwrotu w procesie urbanizacyjnym poprzez zmniejszenie koncentracji wokół przemysłu, wprowadzanie doskonalszych środków komunikacyjnych, które zmieniają oblicza dzisiejszych koncepcji urbanistycznych itp. Obok dość chyba problematycznej groźby „samotności człowieka” (autorzy przychylają się nawet do propozycji „wynagrodzenia za osamotnienie”), można by przytoczyć jeszcze wiele przykładów korzyści płynących ze zdobyczy rewolucji naukowo-technicznej. Zastosowanie ich w pełni jest jednak (tak mi się wydaje) kwestią odległej przyszłości (w książce operuje się często początkiem XXI wieku). Żałuję, że tak mało (albo w minimalnym zakresie) zdobyczy współczesnej nauki i techniki stosuje się w szkolnictwie, w którym sposób zdobywania wiadomości prawie nie różni się od koncepcji dawno stworzonych.

Wynikiem braku czasu na podkreślane w omawianej książce doksztalcanie się, jest zapewne także mój spłycony pogląd na problemy związane z rewolucją naukowo-techniczną.

ANDRZEJ TERLECKI

Stoimy na rozdrożu, lecz wiem jaką dalszą drogę wybierze nasza cywilizacja; nie ma wyboru (jest już zbyt późno), pójdzie prosto, dalej, drogą którą dążyła, drogą, przy której jest coraz mniej życia, zieleni, drogą, która staje się coraz ciśniejsza, coraz bardziej duszna, niezdrowa, idziemy nią wszyscy, pchani rozpędem, rodząc się w tym rozpędzie sami go potęgujemy. Pędząc tą drogą pomagamy sobie wzajemnie, chcemy się od czegoś uwolnić i wiemy, że jest to niemożliwe. Właśnie ta pomoc i chęć zmiany, zdając sobie przy tym sprawę, że jest to nierealne, jest dowodem tego, że czujemy się niepewni w naszym świecie. Tak my — zdobywcy Kosmosu, wielcy naukowcy i badacze, my, którzy rozbijamy atomy, my, którzy okiełznaliśmy przyrodę, czujemy się bezradni wobec naszego wielkiego rozpędu na tej drodze, której kresu nie widzimy i nie wyobrażamy go sobie którego chyba cicho się obawiamy. Czujemy się po prostu zagubieni i bezradni wobec nas samych, wobec naszej działalności, lecz idziemy z podniesioną głową po tej drodze, dumni, zadufani chwalimy się, prześcigamy, licytujemy i... oszukujemy.

JERZY KOKORUDZ

Collage: J. LIEBERSBACH



Dokończenie na str. 8

W PRACOWNIACH NASZYCH UCZONYCH

systemy cyfrowe

Minęły już bezpowrotnie czasy, kiedy słowo „komputer” fascynowało i wzbudzało nabożny niemal lęk. Dziś ludzie przestali się zastanawiać, czy ten skonstruowany przez człowieka bożek XX wieku nie zechce kiedyś zapanować nad swoim twórcą. Komputery zeszyły do roli narzędzi, które mimo dużego stopnia złożoności mogą tylko wyręczać człowieka w żmudnych i uciążliwych dla niego pracach. Stały się niemal przedmiotami codziennego użytku.

O komputerach, ich tworzeniu i możliwościach zastosowań rozmawiać dziś będziemy z kierownikiem Zakładu Zastosowań Techniki Cyfrowej Instytutu Cybernetyki Technicznej — prof. dr hab. Adamem SIELICKIM, oraz jego współpracownikami — doc. dr Wojciechem ZAMOJSKIM i dr Tadeuszem JELENIEWSKIM.

— *Panie profesorze, jaka treść kryje się pod pojęciem „zastosowanie techniki cyfrowej”?*

Prof. A. Sielicki: Trudno byłoby chyba omawiać cały kompleks zagadnień, które obejmuje to określenie. Wolałbym się dlatego ograniczyć do spraw, które są bezpośrednio przedmiotem zainteresowań naszego Zakładu.

Zajmujemy się głównie zagadnieniami projektowania, konstrukcji i niezawodności systemów cyfrowych, a w szczególności zastosowaniem komputera do projektowania komputera. W nomenklaturze naukowej określa się to jako „projektowanie wspomagane”. Maszyna cyfrowa stanowi niezwykle skomplikowany układ. Przyjmując za punkt wyjścia zaprojektowaną sieć logiczną, czyli abstrakcyjny schemat maszyny cyfrowej, projektowanie technologiczne montażowo-łączeniowe będzie polegało na przełożeniu tego schematu na język konstrukcyjny. W tym celu sieć logiczną należy podzielić na elementarne jednostki konstrukcyjne — pakiety, i poszczególne fragmenty sieci należy przyporządkować elementom scalonym realizującym określone funkcje. Kolejno należy rozwiązać problemy rozmieszczenia elementów na pakiecie, trasowania połączeń i odpowiedniego łączenia pakietów.

Dr. T. Jeleniewski: Gdyby wszystkie te czynności wykonywać „ręcznie”, zajęłoby to bardzo dużo czasu. Przykładowo, w maszynie cyfrowej ODRA 1325 istnieje ok. 250 pakietów wielowarstwowych, a na każdym z nich do 30-tu kostek układów scalonych. Rozmieszczenie ich na pakiecie tak, aby można było poprowadzić połączenia, i to w sposób możliwie optymalny, bez użycia maszyny cyfrowej, wymagałoby zaangażowania dużego zespołu ludzi i kilku tygodni czasu. Maszyna cyfrowa rozwiązuje ten problem w ciągu 6-8 godzin.

Prof. A. Sielicki: Jeżeli produkcja komputerów ma być produkcją konkurencyjną i odbywać się bez pomyłek i nadmiernych kosztów, konieczna jest komputeryzacja procesów projektowych i technologicznych. Dlatego podjęliśmy przy współpracy z ELWRO problem stworzenia systemu wspomagającego projektowanie maszyn cyfrowych jednolitego systemu RIAD. Ma to być system złożony z szeregu wzajemnie powiązanych programów realizujących poszczególne etapy projektowania.

— *Czy to znaczy, że w procesie tworzenia maszyny cyfrowej rolę człowieka przejmują komputery?*

Dr. T. Jeleniewski: Nie. W dalszym ciągu najistotniejsze będą twórcze możliwości projektanta. Chodzi jednak o to, by te możliwości zwiększyć przez automatyzację tych etapów projektowania, które pochłaniają wiele wysiłku, a nie wymagają udziału człowieka. W tej chwili opracowane zostały już pewne algorytmy, a na ich podstawie programy, które uwolnią człowieka od uciążliwej nietwórczej pracy. A więc algorytm optymalnego rozmieszczania elementów scalonych na pakiecie, dla którego jako kryterium przyjęto wykonalność połączeń i algorytm trasowania połączeń na pakiecie, w sytuacji gdy już rozmieszczone są kostki. Wszystkie te programy sprawdzane są po opracowaniu w Elwro.

Prof. A. Sielicki: Są to pierwsze prace mające zastosowanie przemysłowe, tzn. oparte są o rzeczywiste ograniczenia wynikające z technologii konkretnej maszyny. Dotychczas spotykane były raczej rozważania teoretyczne na ten temat. Zawsze w tego typu pracach pojawia się problem bezpośredniego przechodzenia od projektowania do produkcji, tzn. wprowadzania wyników projektowania nie w postaci czytelnej dla człowieka, ale w postaci np.

zapisu na taśmie papierowej, która mogłaby potem bezpośrednio posłużyć do sterowania odpowiednimi urządzeniami technologicznymi. Np. w przypadku trasowania połączeń mogło to być urządzenie do naświetlania odpowiednich materiałów fotograficznych.

— *Czy Zakład zajmuje się wyłącznie pracami czysto projektowymi?*

Prof. Sielicki: Naszym celem nie jest samo zaprojektowanie pakietu, ale opracowanie metod pozwalających na optymalne zaprojektowanie dowolnego pakietu przy określonych ograniczeniach.

Jeżeli chodzi o szersze, bardziej podstawowe zainteresowania Zakładu, to zajmujemy się również zagadnieniami ogólnej metodologii projektowania technicznego. Algorytymizacja i wspomaganie projektowania komputerów jest dla nas warsztatem eksperymentalnym, który pozwala nam śledzić i konfrontować ogólne prawidłowości procesu projektowania w technice. Na tej bazie powstają ciekawe opracowania naukowe i prace doktorskie.

W tej chwili opracowaliśmy kilka prac dotyczących problemu definicji i formalizacji zadania projektowego. Jest to zagadnienie dosyć poważne, bo w zależności od tego jak sformułuje się problem projektowy, uzyskuje się takie lub inne wyniki. Jeżeli problem projektowy sformułujemy zbyt wąsko, zbyt konkretnie, to z reguły nie dostaniemy rozwiązań nowatorskich i twórczych. Jeżeli narzucimy sobie zbyt wiele ograniczeń, to może się okazać, że nie ma rozwiązania. Zagadnienie właściwej struktury początkowego etapu projektowania jest więc zagadnieniem szczególnej wagi.

Podjęliśmy także prace nad zagadnieniami optymalnej organizacji systemu projektowego rozumianego jako pewne połączenie środków technicznych i ludzi. Jest to zagadnienie optymalnej struktury takiego systemu i optymalnego sterowania tym systemem. W tym względzie jesteśmy zgodni z ogólnym kierunkiem naukowym naszego Instytutu, którym jest nauka o systemach. Zespół projektowy, który z reguły stanowi dużą organizację wyposażoną w odpowiedni sprzęt, nie jest niczym innym jak przykładem dużego systemu, w którym zachodzą skomplikowane relacje i które wymaga odpowiednich metod sterowania i syntezy.

— *Wspomniał Pan Profesor, że jednym z zagadnień, które stanowią przedmiot zainteresowań Zakładu Zastosowań Techniki Cyfrowej są problemy niezawodności systemów cyfrowych. Czy te*

zagadnienia mają jakiś związek z poprzednio wymienionymi?

Prof. A. Sielicki: Niewątpliwie. Zakład w początkach swego istnienia zajmował się metodami optymalnego projektowania układów logicznych z punktu widzenia ich maksymalnej niezawodności. Aktualnie prowadzone badania są kontynuacją tej tematyki, rozumianą jednak szerzej, pod kątem widzenia nie układów, lecz systemów cyfrowych. Problematyka niezawodności ma bezpośredni związek z zagadnieniami projektowania, ponieważ charakterystyki niezawodności obiektu są jednym z najważniejszych parametrów odnoszących się do obiektu projektowanego. Na ten temat najlepiej się chyba wypowie doc. Zamojski, który kieruje prowadzonymi w Zakładzie pracami z dziedziny niezawodności.

Doc. W. Zamojski: Często, gdy wprowadzane są nowe elementy konstrukcyjne, wydają się one tak niezawodne, że pozornie problem niezawodności wydaje się nieaktualny. Tak było np. w przypadku zastąpienia układów tranzystorowych układami scalonymi. Dopiero po minięciu fascynacji nową technologią i pod naciskiem stałej konieczności budowy coraz bardziej skomplikowanych systemów, problem niezawodności nabiera znowu racji bytu. Tym bardziej, że współczesne systemy są często systemami oddziałującymi na otoczenie. Nie można zatem pozwolić na skutki awaryjnej pracy systemu wynikającej z uszkodzenia pojedynczych elementów.

— Jakie problemy z dziedziny niezawodności są głównymi zagadnieniami interesującymi Zakład?

Doc. W. Zamojski: Prowadzimy prace z zakresu niezawodności systemów, w szczególności systemów cyfrowych. Przy czym staramy się, by wyniki naszych prac były przydatne w praktyce inżynierskiej, tzn. kończyły się takimi opracowaniami metody analizy lub syntezy niezawodności systemu lub jego fragmentu (łącznie z programem na maszynę cyfrową), by mogli z niej skorzystać inżynierowie nie posługujący się biegłym trudnym, formalnym aparatem teorii niezawodności. Ostatnio opracowaliśmy metodę umożliwiającą wybór optymalnej pod względem niezawodności struktury systemu regulacji obciążenia elektrowni jądrowej. Opracowana metoda oraz program umożliwiają badanie jak konfiguracja urządzeń systemu oraz ich parametry niezawodnościowe wpływają na prawdopodobieństwo poprawnej i bezpiecznej pracy elektrowni jądrowej. Praca ta była prowadzona pod kątem potrzeb rozwijającej się polskiej energetyki jądrowej. Podejmujemy również prace dla potrzeb Jednolitego Systemu Elektrycznych Maszyn Cyfrowych. Opracowana przez nas tematyka żywo interesuje partnerów RWPg — uczestników programu ISEMC.

— Zakład uczestniczy także w pracach prowadzonych w ramach systemu WASC. Pan Profesorze jest głównym projektantem podsystemu APIP. Na czym polega działalność Zakładu w tej dziedzinie?

Prof. A. Sielicki: Podsystem APIP zajmuje się automatyzacją prac inżynierskich i projektowych. Chodzi o to, by w pełni wykorzystać możliwości

WASC w realizacji prac projektowych i w specjalistycznym nauczaniu w naszej Szkole. Wspomniane już problemy dotyczące metodologii projektowania przy użyciu sprzętu informatyki są jedną z części składowych naszych prac wykonywanych w ramach APIP-u. Dążymy do stworzenia odpowiednich systemów oprogramowania dydaktycznego oraz użytkowego w zakresie różnych specjalności projektowych reprezentowanych w Uczelni. Prowadzimy koordynację prac w podprogramie APIP na całej Uczelni.

Dr T. Jeleniewski: W tym zakresie współpracujemy już w tej chwili z sześcioma Instytutami naszej Uczelni, które dla potrzeb współpracy z przemysłem lub dydaktyki albo dla własnych potrzeb opracowały już szereg konkretnych algorytmów i programów projektowania ukierunkowanych na konkretne klasy obiektów. Np. I-14 opracował program przydatny przy projektowaniu powłok obrotowych, konstrukcji kratowych i prętowych, a I-28 system oprogramowania z dziedziny analizy i syntezy układów elektrycznych. W przyszłości, jeśli chodzi o prace APIP-u, chce-

my położyć szczególny nacisk na realizację systemu oprogramowania dla celów dydaktyki.

— Czy to znaczy, że miejsca wykładowców zajmą maszyny cyfrowe?

Prof. A. Sielicki: Nie, nie chodzi tu o to, żeby nauczanie było w ogóle wspomagane komputerem, ale o to, by nauczyć naszych studentów metodologii projektowania opartych o zastosowanie komputera w różnych dziedzinach techniki. My np. opracowaliśmy specjalny zestaw programów do nauczania przedmiotu „Projektowanie urządzeń cyfrowych”. W udoskonalaniu i unowocześnianiu procesu dydaktycznego również pomagają nam doświadczenia, jakie zdobywamy przy opracowaniach dla przemysłu.

— Bardzo dziękujemy za interesującą rozmowę.

Rozmawiały:
MALGORZATA KRAMKOWSKA
BOŻENA ŁOPUCH

Fot. J. SAMOTUS



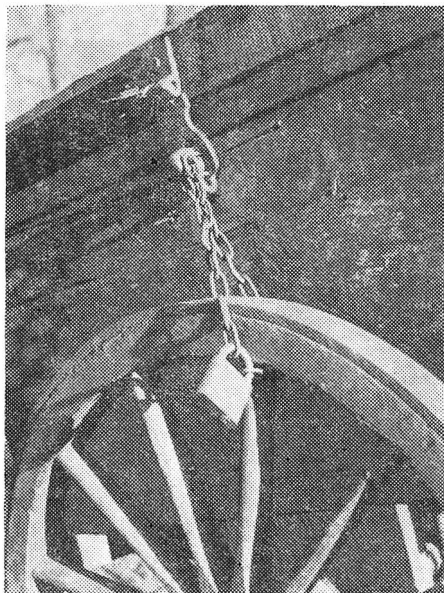


Dokończenie z str. 5

Moje pokolenie będzie realizowało w przyszłości rewolucję naukowo-techniczną. Lecz nasze przygotowanie nie jest najlepsze, wciąż bowiem pokutuje zasada uczenia się „od strony... do strony”. Odczuwa się wyraźnie skrupowanie. Nie ma możliwości wykazania się swymi próbami innego podejścia do zagadnienia. Profil studiów jest taki, że hamuje wszelkie porywy. Prawdziwych studiów nie będzie dopóty, dopóki nad studentem będzie stał asystent — wyrocznia, dopóki nie będzie dana możliwość studiowania tych problemów, które odpowiadają studentowi. Jednolity program, bez realnych niemal możliwości wyłaniania się, powoduje ujednolicenie sposobów myślenia, mechaniczność działania, brak inwencji twórczej, a to jest właśnie największa wada. Obecne studia przypominają szkołę podstawową, w której ma się do czynienia z dziećmi, a nie z ludźmi dorosłymi o różnorodnych zainteresowaniach, predyspozycjach umysłowych.

Rewolucja naukowo-techniczna pozwala patrzeć różowo w przyszłość, ale co będzie z nami, ludźmi, których uczono schematów, których kształcono na teraz, nie na jutro?

MARIA GAŁĘZOWSKA



Po przeczytaniu tego jednego rozdziału odnoszę wrażenie, że autorzy mają żal do rewolucji naukowo-technicznej, która przyczynia się do tego, że człowiek czuje się samotny — zagubiony między pulpitemi sterowniczymi (było stwierdzenie, nie wiem czy ironiczne, że człowiekowi należy się dodatkowa dopłata za osamotnienie), urywają się kontakty międzyludzkie, wszystkie znajomości, przyjaźnie są sztuczne. Dobrze, że zauważa się również duże plusy rewolucji naukowo-technicznej, bo można by pomyśleć, że autorzy marzą o powrocie do czasów, kiedy człowiek miał na co dzień kontakt z naturą (praca na roli), a może jeszcze bardziej wstecz — do epoki pierwotnej, gdzie człowiek żył bez żadnych problemów.

Następna rzecz, to sprawa wykorzystania wolnego czasu. Proponuje się wykorzystanie wolnego czasu na sport, rozwijanie własnych zainteresowań, no i na kulturę, ale na tę kulturę pisaną przez duże „K”, czyli ambitną. Zgadza się z tym, że taka kultura poszerza horyzonty myślowe człowieka, przyczynia się do jego wszechstronnego rozwoju intelektualnego. Ale nie można krytykować też tej błahej rozrywki dlatego, że współczesny człowiek dąży jeszcze na razie do tego, aby zabić się, pośmiać się, o czym może świadczyć chociażby poczytność przeciętnego kryminału, a nie np. zbioru wierszy np. Leśmiana. Dlatego też wartościowa produkcja kulturalna jest na razie dla pewnej grupy ludzi o wyższym rozwoju intelektualnym, natomiast dla nas jeszcze długo musi istnieć prosta rozrywka, która daje wytchnienie, przyjemność i rekreuje siły.

Do reszty stwierdzeń autorów nie mam raczej zarzutów. Być może źle odebrałem to, co chciano przekazać, lecz w tych sprawach takie jest moje prywatne i przypuszczam, że chociaż częściowo — słuszne zdanie.

TADEUSZ WŁOSTOWSKI

Po przeczytaniu fragmentu książki Radowana Richty *Cywilizacja na rozdwoju* postaram się opisać refleksje jakie mi się nasunęły z obserwacji życia, nie będę natomiast streszczał tego rozdziału.

Samo stwierdzenie „rewolucja naukowo-techniczna” budzi we mnie dużo zastrzeżeń, bo czy mamy prawo mówić tak o swojej współczesności. Niemniej jednak jest to reguła, jeżeli spojrzymy na wypowiedzi ludzi z różnych epok. Dla nich właśnie ich epoka była najszybszym i najszybszym okresem rozwoju nauki i techniki. Dlatego sądzę, iż my mówimy tak samo o sobie. Rozwój nauki i techniki postępuje w sposób wykładniczy i jest zarazem proporcjonalny do ilości mieszkańców naszej planety, a jak wiadomo, liczba ludzi stale wzrasta. Nasuwa się już prosty wniosek, że w następnym okresie czasu rozwój będzie następował jeszcze szybciej.

(...) Pierwszym zagadnieniem jest kontakt: rewolucja naukowo-techniczna i człowiek. W miarę rozwoju techniki człowiek przestaje być tak istotnym czynnikiem wytwarzania. Coraz częściej pełni on funkcję nadzoru nad maszyną, bądź całym zespołem urządzeń. Z tym faktem związane są nadwyżki czynnika ludzkiego. Co począć z masą ludzką, która nie jest potrzebna bezpo-

średnio w produkcji? Pierwsi dali na to odpowiedź Amerykanie. Dysponując dużymi nadwyżkami finansowymi stwierdzili, że wartołożyć na „człowieka nauki”. Dawali do dyspozycji uzdolnionych ludzi świetnie wyposażone laboratoria, wolną rękę w dziedzinie badań i dużo czasu. Współczesnym przykładem jest firma Philips w Holandii, gdzie w produkcji jest zatrudnionych tylko 1/5 inżynierów, reszta pracuje w laboratoriach. Jednakże na taką „rozrzutność” mogą sobie pozwolić tylko jednostki bardzo bogate. No dobrze, ale co począć z resztą „zbędnych” ludzi wypartych przez automaty? I na to znalaziono sposób skracając po prostu czas pracy.

W tym momencie wyłania się następne zagadnienie — potrzeby ludzkie. Można je podzielić na dwie grupy: materialne i duchowe. Materialne, to przede wszystkim spożycie dóbr trwałych: magnetopalki, wielolodówki itp.

Pod pojęciem potrzeb ducha rozumiem kulturę, kulturę telewizyjną, kinową, rzadziej teatralną, gazetową, książkową itp. Człowiek został przyzwyczajony do spożywania informacji w pewnej określonej ilości i trudno nam się odzwyczaić od tego, podobnie jak od jedzenia.

Informacja oczywiście jest też związana z rozwojem nauki i techniki. Rozwój ten pociąga jednak za sobą inne, raczej przykre następstwa. Takim następstwem jest ograniczenie kontaktów osobistych między ludźmi. Bo po cóż mamy składać wizyty rodzinie, skoro można zatelefonować i bez wychodzenia z domu na zatłoczone ulice dowiedzieć się co u nich słychać. Z drugiej jednak strony poprzez rozwój chociażby telewizji poznajemy moc ludzi(...)

I na koniec zostawiłem sobie chyba najważniejsze zagadnienie, które przewijało się przez całe moje rozważania — czas wolny. Co począć z dużą ilością tego czasu (nie mówię o nadmiarze, bo chwilowo nam to jeszcze nie grozi). Okazuje się, że są duże możliwości. Chyba właśnie dlatego, że znalazła się grupa ludzi, która stwierdziła, że na „czasie relaksu” innych można dobrze zarobić. I tak rozwija się wiele dyscyplin sportu jak piłka nożna, totolotek, wyścigi samochodowe, w których pełniimy niestety tylko rolę obserwatorów, a nie jak chcieliby nasi lekarze — rolę czynnych sportowców. Innym przejawem wypełnienia wolnego czasu jest hobby pod postacią modelarstwa czy innego domowego amatorstwa. Amatorzy domowi kupując zestaw „zrób to sam” mogą robić najróżniejsze rzeczy. Począwszy od napraw psujących się samochodów, których na szczęście mamy dość sporą ilość, aż do zmanierowanych pomysłów chociażby Norwegów, którzy przekazali ostatnio w programie telewizyjnym jak można złożyć sobie żywą rybkę z części kupionych w sklepie dla majsterkowiczów.

Przyszła teraz kolej na podsumowanie czy zakończenie tej krótkiej wypowiedzi. Rewolucja naukowo-techniczna jest zagadnieniem bardzo złożonym i nie zbadanym do końca. Najlepszym tego przykładem jest chociażby książka pana Richty. Myślę, że będę usprawiedliwiony, jeżeli w chwili obecnej nie napiszę tego podsumowania, ponieważ sama rewolucja naukowo-techniczna jeszcze się nie zakończyła. Jednakże obiecuję, że w momencie uspokojenia się ruchów rewolucyjnych w dziedzinie nauki i techniki ponownie chwycę za pióro.



Iudzie i słoiki

Maciej Kałuszyński

Spośród wielkiej ilości przymiotników oceniających, którymi posługujemy się w naszym życiu codziennym, na szczególną uwagę zasługują te, przy pomocy których oceniamy innych ludzi: przyjaciół i nieprzyjaciół, kolegów, przełożonych, podwładnych, itp. Takie słowa jak: szlachetny, bezinteresowny, mądry, ludzki, podły, nieużyty, głupi — dobrze znamy i z mniejszym lub większym poczuciem trafności przypinamy je jak etykiety do słoików różnym ludziom na własny prywatny użytek lub na użytek czy też nieużytek innych zainteresowanych, a bywa, że i niezainteresowanych. Nietrudno jednak chyba zauważyć, że reguły rządzące owym przypinaniem przymiotników etykietek ludziom — słoikom są bardzo różne, zmienne i zależne od sytuacji. Powoduje to pewną nieokreśloność i niejasność w sytuacjach „bycia ocenianym”. I tak pewien młody człowiek trapi się od dłuższego czasu wspominając sytuację, kiedy to sympatyczna skądinąd koleżanka dała mu po buzi stwierdzając przy tym: „jesteś głupi”. To, dlaczego dostałem w pysk — skarży się ów młodzieniec — jest zupełnie jasne, sytuacja pod tym względem była jednoznaczna, ale co miała na myśli mówiąc, że jestem głupi?

Wieloznaczność słów oceniających mogłaby być tematem bardzo interesującego studium, nie na niej jednak zamierzam obecnie skupić uwagę. Z punktu widzenia etyki o wiele bardziej interesująco przedstawia się sam psychologiczny proces oceniania innych. Oczywiście zastanawiając się nad ocenianiem nie możemy tracić z oczu wieloznaczności i względności przymiotników oceniających, one wszak wyrażają, rzekłbym, uwieńczają dokonane przez nas dzieło osądzenia co też wart jest dany Xiński globalnie lub pod danym względem.

Wyobraźmy sobie sytuację w spiżarni. Gospodyni stwierdza, że wszystkie nalepki z nieprzeliczonej ilości słoików konfitur poodpadały. Postanawia zatem dokonać degustacji każdego słoika aby określić co on zawiera. Przy okazji zapragnęła posortować je według jakości, jako że jedne są bardziej, inne mniej udane. Przygotowała klej i czyste na-

lepki, które zamierza wypełniać wypisując rodzaj konfitur oraz ich jakość wg. następującej skali: „doskonałe”, „dobre”, „dla gości”. Założmy, że otwieranie słoików nic nie zaszko- dzi konfiturom. Okazuje się, że praca nie idzie jej tak szybko jak się spodziewała. Gospodyni jest osobą skrupu- latną, ma poczucie obowiązku we wszystkim co robi i oto przy wielu słoikach napotyka na niezwykle trudne proble- my: ta na przykład konfitura z malin — w zasadzie dosko- nała, świetny aromat, konsystencja idealna, smak taki jak trzeba, tylko odrobinę za mało słodkie; czy zaliczyć je do dobrych czy do doskonałych. Jeszcze więcej problemów na- stręczają decyzje: „dobre” czy „dla gości”. W czym tkwi istota trudności? Otóż porządkuje się tu słoiki według skali jednowymiarowej, natomiast na jakość konfitur składa się wiele czynników. Możemy powiedzieć, że wartość konfitur jest więcej niż jednowymiarowa.

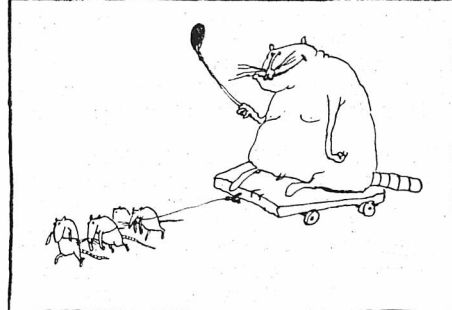
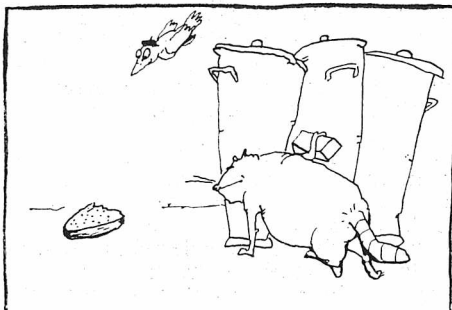
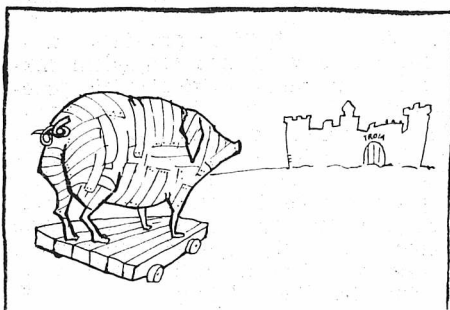
Spotkać można ludzi, którzy mają tendencję do uporząd- kowywania bliźnich ze swojego otoczenia w sposób podob- ny jak to czyniła opisana gospodyni ze słoikami. Jeżeli są tak skrupulatni jak owa gospodyni i posiadają takie same poczucie odpowiedzialności, to ich postawa nie jest szkodli- wa, zaplaczają się bowiem dokładnie w gąszczu kryteriów i wymiarów i albo zrezygnują z przerastającego ich możli- wości zamiaru, albo źle skończą. Być może niektórzy bar- dziej skłonni do kompromisu znajdą inne wyjście i usze- regują bliźnich według jednego bardziej lub mniej wymier- nego kryterium, np. wg wysokości poborów, ilości dzieci czy publikacji naukowych lub bardziej ambitnie — według po- czucia humoru.

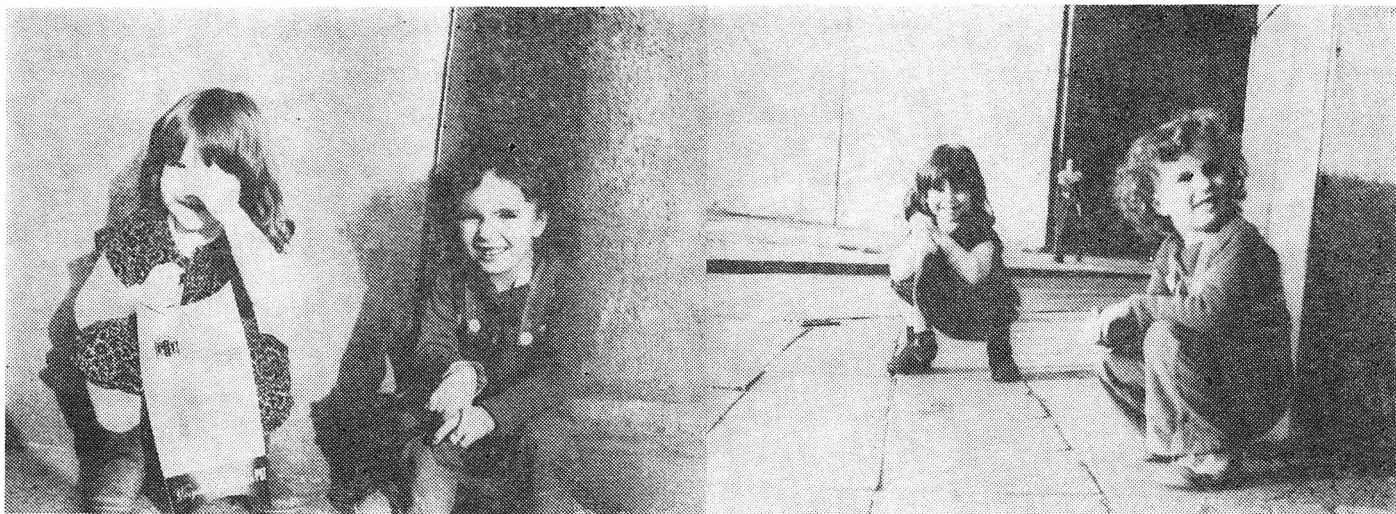
Istnieją jednak inni, nie tak skrupulatni (przynajmniej w tej dziedzinie), którzy mają mniej problemów z przymierza- niem nalepek ludziom niż owa gospodyni z ocenianiem kon- fitur. Ale nie osądzajmy tych ludzi zbyt pochopnie, oni też nie są słoikami. Powstrzymajmy się przed przyklepieniem im etykiety wieszczącej ich głupotę, bo takie właśnie określe- nie zdaje się wynikać z tego, co powiedziano dotychczas. Przypomniałem sobie właśnie jednego, który używa takich lapidarnie brzmiących nalepek bynajmniej nie z głupoty. On z pewnością nie wierzy w ferowane przez siebie oceny, on je stosuje jako środki do pożądanego przez siebie ce- lów. Nasuwa się tu cały szereg możliwych do przyklejenia przymiotników wartościujących, ale powstrzymajmy się i teraz.

Momentem, od którego zaczynają w naszej świadomości szeleścić niecierpliwie nalepki, jest moment zaobserwowa- nia przez nas czynów, działań. Czynny te widzimy w kon- tekście celów, środków zastosowanych i konsekwencji. Więk- szość przymiotników — nalepek do tych czynów się odnosi, przenosimy je często zupełnie automatycznie na sprawcę. Dobrze, zgoda, lecz przenosimy je na sprawcę danego czynu pamiętając, że abstrahujemy w tym momencie od całej zło- żonej i zawsze bogatej reszty sprawy. Ktoś powie: ale sprawca tego drożnego czynu popełnił go, gdyż taką właś- nie ma osobowość, mam więc prawo ocenić jego osobowość na podstawie tego co właśnie zdziałał. Jest w tym łut praw- dy, aczkolwiek jest to również abstrahowanie od innych stron osobowości sprawy. Jeśli zatem nie możemy wstrzymać się przed zastosowaniem nalepki (a są z pewnością sytuacje, w których nie wolno nam się wstrzymać), to przyklepamy je we właściwym miejscu.

W działalności oceniającej należałoby pamiętać o jeszcze jednym. Ocena jakiegoś aspektu osobowości nie może być uznana za ostateczną. Każdy człowiek się zmienia, uczy się (często właśnie na błędach). Wydana ocena, staje się często już w momencie jej wyrażenia oceną przeszłości. Być może jest ona wartościowa z biograficznego punktu widzenia, lecz nie stanowi żadnej podstawy do przewidywania przyszłych zachowań osoby ocenianej. A jeśli nie chcemy pozostać w kręgu subiektywnych odczuć typu „lubię”, „nie lubię”, mu- simy pozwolić aby konkretne działania weryfikowały wyda- wane przez nas oceny.

Rys. J. TULECKI





Fot. P. SZCZENIOWSKI

REFORMA—EKSPERYMENT CZY OBOWIĄZEK?

Lech Isakiewicz

Na całym świecie prowadzone są doświadczenia w szkołach eksperymentalnych i w normalnych klasach szkolnych. Niejednokrotnie rezultaty tych eksperymentów przekreślają pieczołowicie kultywowane dogmaty pedagogiczne. Twierdzenia, że dziecko ma pewien ustalony wskaźnik inteligencji, że zdolności twórcze rozwijać można tylko w nieznacznym stopniu, że wiedzę można „wymuszać” tylko nie zmieniającym od wieków systemem kar lub nagród, pieczołowicie bronione przez apologetów wszystkiego co tradycyjne i skostniałe, należy poddać gruntownej weryfikacji. Programy szkolne w swym obecnym kształcie są — o czym się mówi już dosyć głośno — bardzo przestarzałe. Każda próba dostosowania programu do potrzeb współczesnego świata i do współczesnych zdobyczy nauki, nie tylko w zakresie matematyki czy fizyki, ale — przede wszystkim — psychologii i pedagogiki, wywołuje lawinę dyskusji, w których oponenti zawsze odgrzebią kilka „śluszných” argumentów w postaci braku kadr, niedoskonałości pomieszczeń i pomocy szkolnych czy ryzyka jakie podejmuje się wprowadzając niesprawdzone do końca pedagogiczne nowinki i eksperymentując tym samym na żywym człowieku bez gwarancji powodzenia. Głosy o hodowli geniuszów matematycznych w eksperymentalnych klasach matematycznych i o odebraniu szans na przebrnięcie przez sito konkursowych egzaminów podczas zdawania na wyższe uczelnie, świadczą o krótkowzroczności i indolencji ich wypowiedzicieli. Eksperymentować trzeba, gdyż nie ma powodzenia bez ryzyka, a że przy okazji ktoś do czegoś się rozczaruje, nie sprawdzi, czy wręcz odpadnie; trudno — lepiej się rozczarować w wieku lat szesnastu — osiemnastu, niż w wieku lat trzydziestu stanąć oko w oko z problemem, że właściwie należy rozpoczynać wszystko od nowa.

Na początek kilka przykładów.

W jednej ze szkół w Pittsburghu w Stanach Zjednoczonych, wprowadzono nową metodę: nauczanie planowane indywidualnie. Metoda ta polega na planowaniu i realizowaniu z każdym uczniem indywidualnego programu,

przystosowanego do jego potrzeb i zdolności. W praktyce polega to na tym, że uczeń sam wyznacza tempo swoich postępów. Wyprzedza — dajmy na to — resztę klasy o całe dwa lata w matematyce czy przyrodzie, w pozostałych zaś przedmiotach, poziom jego wiadomości równa się poziomowi innych uczniów w klasie. Ten typ nauczania, pomaga w większym niż w „normalnych” szkołach stopniu w samodzielnym dojściu do lepszego zrozumienia jakiegoś problemu, przygotowuje też bardziej do korzystania z pomocy naukowych — bibliografii i źródeł.

Dr Benjamin S. Bloom z Uniwersytetu w Chicago dowodzi, że połowa rozwoju inteligencji ludzkiej ukształtowanie się w okresie od urodzenia do ukończenia czterech lat, następne 30%, rozwoju przypada na wiek 4-8 lat, a pozostałe 20% — między dziewiątym a osiemnastym rokiem życia. Inaczej mówiąc, połowa inteligencji dziecka rozwija się, zanim pójdzie ono do szkoły, a pełny rozwój jest już w 80% osiągnięty, gdy uczeń kończy trzecią klasę szkoły podstawowej. Do podobnych wniosków doszedł w swoich badaniach szwajcarski psycholog zajmujący się badaniem psychiki dziecka, profesor Genewy i Sorbony, Jean Piaget.

Dr Jeroms S. Bruner, profesor psychologii z Harvardu, sformułował tezę, która tak oto ujmuje stan naszej wiedzy o potencjalnej zdolności dziecka do uczenia się: *Każde dziecko na każdym etapie rozwoju można uczyć każdego przedmiotu — trzeba tylko znaleźć odpowiednią i rzetelną formę.*

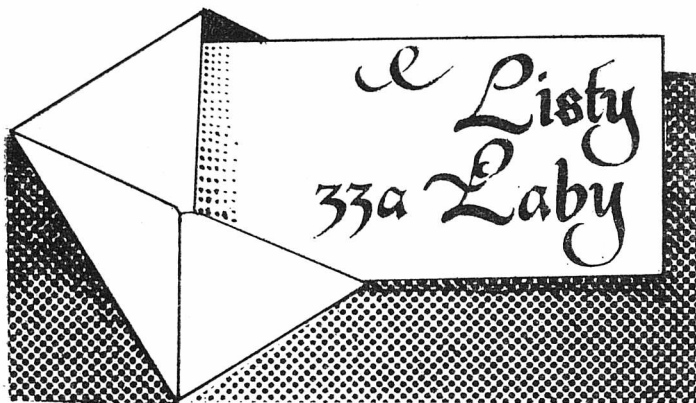
Dr Richard Suchman z Uniwersytetu w Berkeley opracował metodę, którą nazwał *pobudzaniem docieklivosti*. System swój oparł on na przekonaniu, że dzieci mają wrodzony popęd do badania i opanowywania otaczającej je rzeczywistości. Nauczyciel udziela informacji i zachęty, lecz nie narzuca dzieciom żadnych teorii, własnych ani cudzych.

Uczniowie piątej i szóstej klasy, szkoły, którą dr Suchman się opiekuje, opracowali bardzo ciekawe teorie wyjaśniające zjawisko tonięcia lub utrzymywania się na powierzchni wody. Nigdy nie słyszeli o prawie Archimede-
desa, a jednak na podstawie surowych

danych wydedukowali wyjaśnienie, które dokładnie pokrywa się z archimedowym.

Przykłady można mnożyć. Co jednak jest przyczyną, że władze oświatowe na całym świecie tak niechętnie wprowadzają tego typu „nowinki” do programów nauczania? Czy tylko „nieruchawość” maszyny szkolnej? Przecież inwestycje „włożone” w oświatę są inwestycjami najbardziej opłacalnymi z ekonomicznego punktu widzenia. Każda nowo wybudowana szkoła, każda urządzona nowoczesnie pracownia, amortyzuje się” w bardzo krótkim okresie czasu. Każdy eksperyment także przynosi więcej korzyści niż szkody, nawet jeśli miał się nie sprawdzić — uczniowie z większym zapalem podchodzą do wszystkiego co nowe, ciekawe, nieskostniałe, nawet jeśli to nowe nie jest do końca „wyeksperymentowane”.

W Polsce jest kilka szkół, w których uzyskano bardzo ciekawe wyniki nauczania. Eksperyment poznański, wrocławskie III Liceum Ogólnokształcące, Jeleniogórska Szkoła Rzemiosł Artystycznych oraz kilka innych, wcale nie ustępują śmiałością myśli szkołom piteburskim i berkelyowskim. Atmosfera, która wokół tych eksperymentów się wytwarza, jest jednak co najmniej dziwna. Nikt co prawda nie występuje przeciwko nim, traktowane są jednak — oględnie mówiąc — z nieufnością przez władze oświatowe, rodzice zaś — posyłając tam dzieci — zadają najczęściej pytanie: *czy po takiej szkole moje dziecko dostanie się na studia czy nie? czy wykośli konkurencję czy nie?.* Zdolności, samorealizacje i temu podobne bzdury, nie są w tych rozważaniach wcale brane pod uwagę. A już zupełnie nie bierze się pod uwagę jednego — bardzo znamiennego — faktu. W latach pięćdziesiątych byliśmy przodującym w Europie państwem pod względem masowości nauczania. Gdzienigdzie przebąkiwało się o „polskim eksperymencie”, o braniu przykładu, o śmiałości myśli. Obecnie — jeśli wierzyć badaniom prof. Jana Szczepańskiego — około połowie Polaków grozi wtórny alfabetyzm. Znaczy to, że owa prawie połowa umie się zaledwie podpisać i wie ile zapłaci za kilo soli, pęczek szczypiorku i butelkę śmietany.



Z Hamburga do Kopernika [3] (część II z cyklu: autobusem przez RFN)

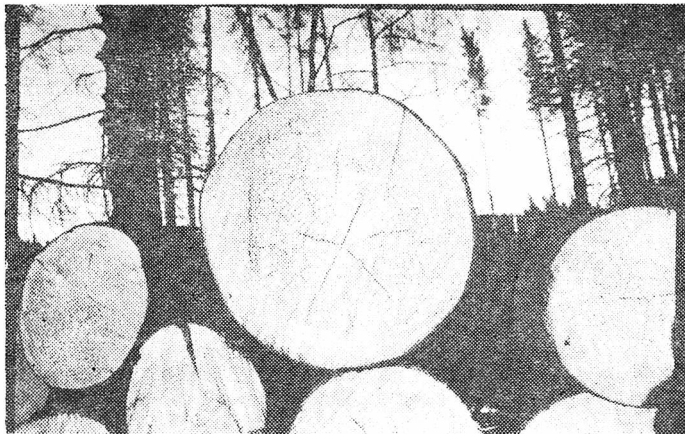
Z Heidelbergu droga wiodła przez Stuttgart, gdzie zatrzymaliśmy się jedynie na nocleg, by już wcześniej rano wyruszyć na najdłuższy w naszej wycieczce, 400-kilometrowy odcinek trasy do Freiburga. W programie dnia mieliśmy także zwiedzanie zakładów Zeissa w Oberkochen. Zakład powstał tuż po wojnie przy wydatnej pomocy Amerykanów, którzy w 1945 r. wyzwolili Jenę i postarali się o to, by trzon specjalistów słynnych Zakładów Zeiss Jena przesiedlić na zachód. Ludzie ci zdołali stosunkowo szybko stare i ciemne hale jakieś niewielkie fabryczki przeistoczyć w nowoczesny zakład przemysłowy, produkujący obecnie szeroką paletę wyrobów optycznych, a specjalizujących się w budowie złożonych przyrządów elektroniczno-optycznych stosowanych w kartografii, geodezji, chemii, medycynie i innych dziedzinach. Demonstrowano nam wiele z tych ciekawych przyrządów. Imponował w szczególności automat do rysowania map w oparciu o zdjęcia lotnicze, dalej — niezwykle czuły przyrząd do błyskawicznej niemal analizy zanieczyszczeń w atmosferze. Sprytna wydawała mi się również aparatura do identyfikacji i jednoznacznego określenia koloru z palety badając kilka tysięcy możliwych odcieni. Np. moja ceglasto-czerwona koszula miała prosty i jednoznaczny numer koloru — powiedzmy 7412. W przemyśle farb i lakierów oraz przy barwieniu tkanin możliwość takiego „zdigitalizowania” barwy daje szansę idealnego kopiowania każdego koloru.

Zakłady Zeissa w Oberkochen, choć same nie budują już kamer fotograficznych, szczerą się jednak tym, że w realizację programu Apollo uprzednio były obiektywne pochodzące właśnie stąd.

Po zwiedzeniu zakładów prezentowano nam również obszerny film nakręcony przez kosmonautów amerykańskich w czasie ich podróży oraz pobytu na księżycu. W samym filmie znalazła się też obszerna sentencja poświęcona Kopernikowi, nie było jednak nawet marginesowej wzmianki o tym, gdzie żył i pracował ten który wstrzymał słońce i poruszył ziemię. Kopernik zresztą w RFN przez wielu bez-

pardonowo uważany jest za stuprocentowego Niemca. Bo jakże to możliwe, by coś tak wielkiego nie było jednocześnie niemieckie. Z pewnością wielu Niemców patrzy na świat i ocenia go obiektywnie, dla wielu jednak wciąż jeszcze jedyną strawą duchową i źródłem informacji są milionowe nakłady z maszyn rotacyjnych Springera, który na swój sposób uczcił Rok Kopernikowski. Nie wątpię w to, że z okazji 500-rocznicy narodzin wielkiego astronoma z Torunia ukazały się tu w RFN również bardziej ambitne i obiektywne prace. Ich nakłady były jednak małe, a krąg czytelników elitarny. Masy czytają „Bild Zeitung”. I to jest właśnie dla mnie bolesnym i oburzającym zarazem faktem, iż mimo wysiłków rządu federalnego i postępowej części społeczeństwa niemieckiego w kierunku zbliżenia z narodem polskim, działają w dalszym ciągu w RFN wpływowe siły, kontynuujące pranie mózgu młodej generacji wg najlepszych wzorów z przeszłości. Trudno się później dziwić, że Niemiec jest butny i zarozumiały, że osiągnąć innych nie dostrzega lub kwituje je lekceważącą pogardą. W połączeniu z eskalacją niemieckiej zaborczości, taka konstrukcja psychiczna przeciętnego obywatela ostatniej Wielkiej Rzeszy dała się narodom Europy i świata dotkliwie we znaki. „Silnych” ludzi nie brak w RFN w dalszym ciągu i to we wszystkich stacjach. Czytałem np. ostatnio, że w Hamburgu toczy się proces przeciwko I-oficerowi i dwóm członkom załogi jednego z RFN-owskich statków handlowych, którzy skatowali i wyrzucili za burtę rekinom na pożarcie młodego Murzyna za to tylko, że miał czelność na ich statku przepłynąć na gapę do Europy. Potrafiłem przy tym znaleźć w procesie tyle „okoliczności łagodzących”, że nie zdziwię się, gdy za kilka dni przeczytam o uniewinnieniu zbrodniarza. My Polacy aż nadto znamy te praktyki RFN-owskiej Temidy z licznych procesów tych, co bez sądu wieszali, palili i mordowali. W procesach trwających miesiącami nie potrafiono, a może nie chcieli udowodnić im winy. Widać z tego, że znacznie prościej jest spalić w krematoriach miliony niewinnych istnień niż napiętnować jednego spośród siebie. Z tą swoją dialektyką spotykam się na każdym kroku, nawet w rozmowach z wykształconymi Niemcami. Potrafię ich zrozumieć, gdy nie chcą nic słyszeć ani wiedzieć o złej przeszłości, przy każdej jednak sposobności będą się starali wagę uczynionych potworności zmniejszać i lekceważyć. Nie było np. w żadnych z czytanych przeze mnie miejscowych dzienników najmniejszej wzmianki o 35 rocznicy Września. Zgodziłem się z argumentacją w rodzaju: — pozostawmy raz na zawsze mroczną przeszłość za sobą i patrmy z optymizmem w przyszłość. RFN-owska dialektyka jest jednak przebiegła. Prasa RFN-owska nie chce pisać o wrześniu, bo to trochę kompromitujący moment w historii narodu, pełną akceptację natomiast znajdują jakże jeszcze liczne i obszernie artykuły opisujące barunie i w najdrobniejszych szczegółach niedolę „wypędzonych z ojczyzny” Niemców. Pokazuje się więc milionom Niemców w bogato ilustrowanych tygodnikach 30 lat po wojnie jaka to krzywda ich spotkała np. w tzw. „krwawej niedzieli bydgoskiej”, kiedy to zli Polacy strzelali do dobrych Niemców. Nam Polakom zarzuca się obsesję, gdy odwołujemy się do doświadczeń z okresu, kiedy to za sprawą niekogo innego, tylko Niemców, groziło nam biologiczne wyniszczenie, Niemcy natomiast jeszcze przez dziesięciolecia pielęgnować będą pamięć i ubarwiać doznane „krzywdy” — przy czym niewielu z nich zadaje sobie pytanie: dlaczego „niedola” taka musiała się stać ich udziałem i kto ponosi faktyczną za nią odpowiedzialność. Może zbyt pesymistycznie oceniam sytuację, strasznie jednak daleko do tego aby powszechne były w narodzie niemieckim szczere intencje pojednania z Polakami.

Takie wrażenia są mocno nie na czasie, bo właśnie dziś 1 listopada 1974 r. podpisano wielką 10-letnią umowę o współpracy gospodarczej i technicznej. Temat „Polska” pojawia się przez kilka dni na pierwszych stronach gazet. Wielcy ludzie wyrażają swoje optymistyczne zdania i opinie. Coraz częściej mówi się tu o celowości spotkania Edwarda Gierka z kanclerzem Schmidtem. W Essen cieszy się ogromnym powodzeniem nasza wystawa „Polska 74”. Z dużych barwnych plakatów uśmiecha się Marek Tomaszewski i Wacek Kisielewski. Aby przypadkiem nie sponaszyć potencjalnych wielbicieli ich talentu karkołomnymi nazwiskami i informacją, że są Polakami, plakat podaje tylko ich imiona i to zmienione „Marek i Wacek”. Czyżby i to nie było sympatyczne? Powiecie — tak już musi być „business is business” — szczerą prawdą, podobnie jak ta, że „w polityce sentymentów niet i nie budzi”. No tak, ale casus „Kopernik” wprowadził mnie na niewłaściwą orbitę. Chyba przyjdzie mi dokończyć podróż po RFN, a właściwie to już tylko po „wolnym państwie bawarskim”, w następnej części.



zwierzenia intymne

Tomasz Wielicki

BYWALEC SPOD LADY

Kiedy wpadłem do księgarni, stała tam spora kolejka. Uważnie patrzyłem na ręce kupującym. Ani razu nie mignęła mi książka, której pojawienie się na półkach księgarskich zelektryzowało mnie i jeszcze kilku moich znajomych. Kiedy w końcu dotarłem do uprzejmej blondynki po drugiej stronie lady (nie wiem skąd wzięła się u nas opinia, że uprzejme ekspedientki są tylko na Zachodzie) spytałem pełen nadziei:

— Czy ma Pani reportaż Bywalca, wie pani — taki dziennikarz z *Polity-*

ki ma takie importowane nazwisko, Passent się nazywa i w dodatku Daniel...? — Wiem, wiem — ale już tyle razy mówiłam, że nie ma i nie będzie! odpowiedziała zirytowana ekspedientka. Poszedłem jak zmyty i w drzwiach zderzyłem się ze znajomym, który też lubił Bywalca.

— Już nie masz co się spieszyć, Bywalec wyszedł — uprzedziłem grzecznie.

— Dla kogo wyszedł, dla tego wyszedł — odpowiedział znajomy z rozbijającym uśmiechem. Po kilku minutach wyszedł niosąc ślicznie opakowane dwa egzemplarze felietonów By-

walca. Jeden był dla mnie. Następnie usłyszałem cały wykład na temat, jak to dobrze i praktycznie posiadać tzw. „swoją panią” w księgarni oraz, że każdy kulturalny Polak taką panią posiadać powinien. Ja nie posiadałem... i zrobiło mi się przykro, że wszyscy mają, a ja nie mam. A sposób nabycia „Pani” był prosty. Wystarczy jakąś bombonierkę, czekoladę, zaproszenie na kawę i gotowe. A jeżeli ktoś zdecydował się na randkę plus kilka niekrepujących pocałunków — to chyba będzie mógł sobie ściany wytapetować *Ulissesem* i zrobić kalendarz z *Dni szakala*. Rozpatrując problem historycznie, przemyślałem sobie, że właśnie posiadanie „swojej pani” to nic nowego. Instytucja ta narodziła się już w starożytnym Koryncie, przybierała w kolejnych wiekach różne formy; raz nazywała się harem, a innym razem burdelem. Ze zjawiskiem prostytucji można się było spotkać wśród plebsu i równie dobrze wśród najwyższych sfer, ale zastanawiałem się skąd się wzięła ta dziwna prostytucja intelektualna i to jeszcze w sferze handlu?

To, że Bywalec się w końcu zdekonspirował, to jeszcze nic wielkiego. Gorzej, że okazał się nim Daniel Passent. Jeżeli bowiem w dyskusji na temat fenomenów rodzimej kinematografii Passendorfer, Hass i Hoffman będą mówili o Zanussim i Himilbachu, to sytuacja może się wydać podejrzana. Pogorszy się jednak, gdy dyskusję poprowadzi sam Daniel Passent. O naszej polskiej kulturze narodowej Sztudynger napisał kiedyś... ale mu nie wydrukowali. W muzyce hrabia Waldorf też sytuacji nie ratuje. Dobrze tylko, że w pewnej podgórskiej miejscowości Maciej Jan Ko-

liba swoje o kulturze narodowej wie i spokojnie struga staropolskie piszczałki. Owa podgórska wioska leży daleko od centrum kulturalnego naszego kraju i pewnie dlatego nie nazywa się on jeszcze Mack Kollibea.

Zbiór felietonów Bywalca okazał się pasjonującą lekturą nawet dla tych, którzy śledzili jego kolejne występy na łamach *Polityki*. Pikantne, keśliwe felietony red. Passenta zebrane do kupy utworzyły swoiste monstrum, w którego paszczy zginęło wszystko i wszyscy. I nie wiadomo czego bardziej Passentowi zazdrościć, szerokiego przełyku czy szerokich pleców w cenzurze. Jeżeli miałbym z tej książki stworzyć najkrótszą recenzję, to namalowałbym obraz następującej treści: na ogromnym tarasie z widokiem na Cannes w ciepłych podmuchach śródziemnomorskiego wiatru odbywa się wielki bankiet, na którym w huku szampanów w wygodnym fotelu siedzi sam Bywalec, u jego stóp Visconti klóci się z Wajdą, kto ma założyć mu prawy bucik, Fellini nalewa szampana, a Małcużyński podaje kanapki, Zeffirelli i Kenneth (ten od *Oh, Calcutta!*) wachlują go majestatem, Paul Mc Cartney śpiewa w duecie z Violetą Villas balladę o Bywalcu, 75 amerykańskich dziennikarek tańczy kankana w takt orkiestry złożonej z członków korpusu dyplomatycznego, a Parkinson tłumaczy mu się ze łzami z błędów, jakie popełnił w swej teorii. Obrazu dopełniają połączone chóry ONZ i UNESCO pod wezwaniem świętego Bywalca (dyryguje KTT).

Wizja ta oddaje światowość tematów poruszanych przez Passenta, nie mówi natomiast nic o ogromnym ładunku złośliwości jaki zawiera każdy z felie-

tonów. Bo komu się tam nie dostało? I chińskiemu dyplomacie, któremu Bywalec beczelnie zadał pytanie: czy mur chiński jest z pustaków? i Erykowi Lipińskiemu za to, że chce kupić trabantę, i 75 amerykańskim dziennikarkom za to, że takie głupie, i polskim kibicom za to, że na meczu bokserkim Polska—USA okazali się wstrętnymi rasistami i krzyczeli *bij czarnego luda, aż mu się włos rozkręci*. A propos kibiców, dostało się i Urbanowi... chyba za to, że kelner w restauracji „ADRIA” jest od niego ładniejszy i w dodatku głupszy (o co podobno bardzo trudno).

W sumie więc dziełko to bardzo mi się podobało. Najlepiej czytało mi się Bywalca, kiedy w porannej szarżyźnie, ze zmiętą z niewyspania twarzą stałem w „czwórce” wyloczony między rurą o temperaturze 0°C i kaloryfer o temperaturze 90°C, mały niepozorny element tzw. mas pracujących. I chociaż na gardle czułem czubek parasola jakiejś pani, to jednak duszę pełną miałem fantazji i odwagi, czułem się zdolny przeciw złośliwości ministrom i podszypywać dyrektorów departamentów. Czułem się duchowo usatysfakcjonowany... Aż przyszła pewna wątpliwość.

— Panowie, na Placu Kościuszki w aptece jest wata — powiedział konspiracyjnym szeptem jeden z moich kolegów. Rzuciłem się do tramwaju i po piętnastu minutach stałem z dwoma kolegami w ogromnej kolejce. Sprawa waty stała się już sprawą męską. W kolejce stali prawie sami mężczyźni i nikogo to nie krepowało. Najciekawszą postacią w ateece był żwawy starszek, który aż zachłystywał się ze zdziwienia.

— Panie... jak żyje... nie przypuszczała bym... to my już trzydzieści lat... fabry-

ki panie i przemysł... żeby samochodów — rozumiem... mieszkań albo wódek to jeszcze... ale żeby waty!

Kiedy się wydostałem z apteki unosząc cenny towar w postaci dziesięciu paczuszek, pani w białym kitlu wywieżała na szybie kartkę — WATY NIE MA. Coś tu — pomyślałem sobie — jest nie w porządku. Bo tam Fellini z Kałuzińskim o surrealizmie Viscontiego, Passent z Parkinsonem o biurokracji... a tu po prostu WATY NIE MA. I kiedy w tydzień później po kilkudniowych poszukiwaniach kupowałem w jednym z peryferyjnych kiosków „RUCHU” trzydzieści przerwatyw hurtem, to czerwieniła się pani starsza za szybką, czerwieniłem się ja i czerwieniło się pół kolejki za mną, bo drugie pół stało też po przerwatywy. A wszyscy razem czerwieniliśmy się za nasz wrocławski handel.

I wtedy właśnie pomyślałem sobie, że na bankietach w ambasadzie angielskiej i na festiwalach w Cannes rzadko można mieć do czynienia z problemami aptek bez waty, restauracji bez piwa, kiosków bez przerwatyw itp. i dlatego przydałby się nam nasz kieszonkowy Bywalec, nie tyle byłby w świecie co na naszych ulicach, w naszych sklepach, w naszych tramwajach. Mógłby nie odróżnić chińskiego attaché od nigeryjskiego kacyka, ale wiedziałby przynajmniej kogo obsmarować za to, że na Oporowie po 12.00 nie można dostać mleka, lub potrafiłby w swoim czasie złośliwie ośmieszyć instytucję kontrolerów MPK w cywilnych ubraniach.

Do następnego zawieszenia
TOMASZ WIELICKI

Z
§
NA BAKIER

§

Fly by LOT

Szybka lekko dała się odsunąć i w niewielkim czasie trzy bluzeczki z napisem „Made in Japan” powędrowały z wystawowej gabloty do niebieskiej „almaturki”. Antkowiak dopiero teraz spostrzegł, że jest obserwowany przez koleżanki oraz kelnera barku, obok którego znajdowało się okno wystawowe. Zmieszał się. Nie znał niemieckiego, więc nie bardzo wiedział co chce od niego najpierw kelner, a później funkcjonariusze obsługujący port lotniczy w Bonn. Nie stawiał oporu, gdy otwierano mu torbę. Funkcjonariusze wyjęli bluzeczki, oddali kelnerowi, który powtórnie włożył je za szybę wystawową, spisali personalia i odeszli. Antkowiak nie zrażony zajęciem udał się w kierunku wyjścia na perony.

Kierownik wycieczki „Almatur — 1 BDR” został powiadomiony o zaistnia-

łym incydencie jeszcze w trakcie „rozmowy” Antkowiaka z funkcjonariuszami na bońskim lotnisku. Nic więc dziwnego, że niemal natychmiast próbował zebrać możliwe jak najwięcej faktów. Funkcjonariusze poinformowali go, że nie zatrzymują Antkowiaka, gdyż ma za parę minut odlot samolotu, a w wypadku zatrzymania musiałaby interweniować ambasada polska. Wszyscy członkowie grupy, których zawiadomiłem — napisze później kierownik grupy A. Rojek w protokole — byli oburzeni i prosili, aby za swoje postępowanie Antkowiak poniósł jak najsurowszą karę, biorąc pod uwagę nie tylko sam fakt kradzieży, ale także kompromitację Polaków jakiej dopuścił się przez swój czyn”. Sam Antkowiak próbował nie robić z zajścia tragedii, nie przejął się gwałtownym odseparowaniem reszty grupy, a złośliwe uwagi,

które były kierowane w jego stronę podczas lotu, nie docierały do niego. Od startu do wylądowania na Okęciu Antkowiak smacznie sobie pochrapywał. Po wyjściu z Okęcia próbował umówić się z Rojkiem na spotkanie. Wychodził z założenia, że małe party załagodzi sprawę i zajście zostanie „utożsamione”. Do spotkania nie doszło, a sprawa została skierowana do Uczelnianego Sądu Koleżeńskiego ZSP.

✱

Była to chyba najdłużej trwająca rozprawa jaką prowadził kol. R. Lisiak. Bez mała pięć godzin trwające mowy oskarżyciela, obrońcy i wypowiedzi poszczególnych świadków, stworzyły atmosferę jaka panuje niekiedy w trakcie trwania głośnych „poszlaków”. Nie ma tu chyba sensu przytaczać fragmentów rozprawy, jako że tematy czy sformułowania powtarzać się będą w dalszych częściach tego „maratonu”. W rozprawie uczestniczyli oprócz bezpośrednio zainteresowanych przedstawicieli „Sigm”, „Politechnika”, „itd” i „Studenta”, którzy w najbliższych numerach swych pism zdali dokładne relacje z jej przebiegu. Była to pierwsza i to przez nikogo nie wyznaczona kara za czyn niegodny studenta PRL, drugą miał być wyrok sądu.

✱

Było już ok. 23.00 gdy zespół sędziowski udał się na naradę. Przewodniczący poinformował wszystkich o warunkach, w jakich wychował się Antkowiak, ukazał dość dokładnie środowisko w jakim przebywał (tu wspominał o nienagannej pracy w kierownictwie uczelnianego ZSP). Po ok. 10 minutach nastąpił moment głosowania (wyrok zapada na drodze anonimowego głoso-

wania). Sześć kartek i sześć razy: winien. Ponadto na wszystkich kartkach jako wyrok padła propozycja wykluczenia z ZSP oraz podania orzeczenia do publicznej wiadomości. Cztery kartki zawierały propozycje skierowania wniosku do J. M. Rektora o relegację, z Uczelni.

Wyrok był zatem niekorzystny dla oskarżonego i obrony. Przysługiwało im prawo odwołania, z czego skorzystali.

Orzeczeniem z dnia 12 XI 1969 r. Uczelniany Sąd Koleżeński (...) po rozpoznaniu sprawy przeciwko Jerzemu Antkowiakowi studentowi V roku Wydziału Mechanicznego (...) uczestnikowi wycieczki do RFN postanowił uznać go winnym kradzieży dokonanej na lotnisku w Bonn dnia 15 sierpnia 1969 r. ok. godz. 14.00 i wymierzył następujące kary:

1. wykluczenie z ZSP i społeczności pozostającej w zasięgu działalności organów samorządu ZSP,
2. podanie orzeczenia do wiadomości publicznej,
3. skierowanie wniosku do J.M. Rektora o relegowanie z Uczelni.

Od powyższego orzeczenia obwiniony złożył odwołanie do Naczelnego Sądu Koleżeńskiego, zarzucając:

1. sprzeczności wynikłe w toku postępowania dowodowego,
2. odrzucenie przytoczonych przez obronę dowodów dotyczących opinii o dotychczasowej postawie obwinionego w środowisku,
3. niesłuszne uznanie pisemnych zeznań świadków za udowodnione i nie budzące wątpliwości podczas orzekania.

Przewodniczący NSK ZSP przekazał odwołanie do rozpoznania przez Okręgowy SK ZSP. Wobec specyficznych okoliczności Sąd II instancji przeprowadził rozprawę w zasadzie od początku, biorąc pod uwagę dowody zebrane przez Sąd I instancji. Linia obrony bazowała na fakcie, że Antkowiak w czasie popełniania czynu znajdował się w stanie upojenia patologicznego, czemu i tym razem Sąd nie dał wiary. Jako okoliczności, które doprowadziły u niego do zaburzenia psychicznego, obwiniony przedstawił: niedospanie, spożywanie małej ilości pokarmu, spożycie pewnej ilości alkoholu przy jednoczesnym złym znoszeniu go. Okręgowy Sąd Koleżeński powołał dwóch biegłych lekarzy doc. dr A. Loskę i dr nauk med. J. Adamskiego. W trakcie przeprowadzonych badań biegli kategorycznie odrzucili stan upojenia patologicznego, natomiast nie wykluczyli stanu spojenia alkoholowego. „Nawet gdyby przyjąć przebieg tego upojenia za nietypowy, to i tak stan upojenia alkoholowego nie wyklucza karanie” — czytamy w końcowym orzeczeniu biegłych lekarzy. Dalszy przebieg procesu i zeznania świadków utwierdziły Sąd w przekonaniu, że obwiniony nie znajdował się w stanie upojenia alkoholowego. I tu nasuwa się pytanie: czy osoba, która „wypiła za dużo” może nie podlegać karze? Absolutnie nie! Każdy dorosły człowiek decydując się na spożycie alkoholu musi sobie zdawać sprawę, że ponosi pełną odpowiedzialność za wszystkie czyny jakie popełni w wyniku jego działania.

Głębokie zbulwersowanie społeczności studenckiej faktem popełnienia kradzieży przez jednego z jej aktywnych

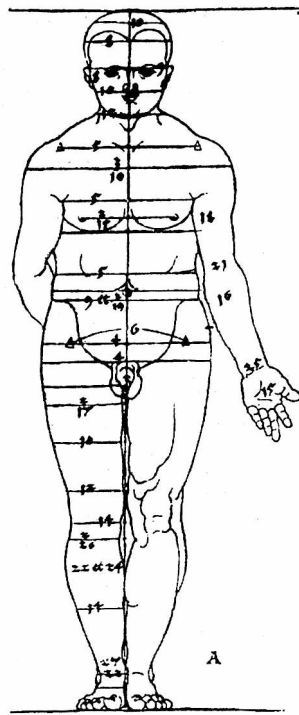
członków, raczej nie stanowi — jak by to widział obwiniony — okoliczności przemawiającej za złagodzeniem kary. Jest przecież rzeczą normalną, że każda społeczność broni się przed jednostkami, które zawiodły jej zaufanie i stanowią jej margines, a jednocześnie dla niewtajemniczonych mogą być obrazem tej społeczności.

Obwiniony był aktywnym działaczem ZSP w jego różnych organach i instancjach. Opinie wystawione mu przez środowiska, w których działał, są bez zastrzeżeń, osoby wystawiające te opinie były zaskoczone faktem dokonania przez niego kradzieży.

Wchodząc w okres produkcyjny, Antkowiak miał realizować to wszystko, co wyniósł z domu, szkoły, czy studiów. Incydent na bońskim lotnisku ukazał brak odpowiedzialności, i ryzykowność decyzji powierzenia mu samodzielnej, może i kierowniczej pracy w środowisku, do którego miał wejść. Każde środowisko, z którego się wychodzi, daje pewną gwarancję. Jaką gwarancję mogło dać ZSP za Antkowiaka, jaką gwarancję może dać SZSP za jemu podobnych? Nikt nie będzie tolerował złośliwstwa, więc nie dziwiło nikogo, że Sąd II instancji utrzymał w mocy postanowienie Uczelnianego Sądu Koleżeńskiego.

Antkowiak został wydalony ze społeczności studenckiej. Jeden czyn oddalił go na długi okres od wypisanego już dyplomu magisterskiego. Dano mu jednak szansę rehabilitacji. Czy z niej skorzysta? Czy potrafi udowodnić, że społeczność może mu na powrót zaufać?

Pytanie postawione w tytule mego felietonu wymaga kilku uwag wstępnych. Podjąłem je zmuszony okolicznościami natury prywatnej i wydawniczymi. Charakterystykę spraw osobistych pomiję; mogą się one



okazać albo kompromitujące moją skromną osobę, albo trywialne. Natomiast kwestie wydawnicze należy traktować poważnie i w związku z tym uprzejmie informuję, iż ukazała się kolejna — szósta w roku pańskim 1974 — książka humanisty, pedagoga i filozofa (triada i trójca w jednej osobie, ciekawy zbieg okoliczności), Bogdana Suchodolskiego. Tytuł: *Kim jest człowiek?* Otóż wiedziony ciekawością, zadałem to pytanie pewnemu przechodniowi. Nawiasem mówiąc, brzmiało ono nieco inaczej, mianowicie — kim jesteś, człowieku? Mój anonimowy rozmówca, upewniwszy się, iż nie reprezentuję żadnej władzy, zapytał mnie z kolei — czy chcesz, człowieku, dostać w mordę? Odaliłem się pośpiesznie.

W oparciu o empiryczny przykład, którego fizycznych skutków nie chciałem — jak widać — doświadczać, wprowadźmy pierwszą konkluzję. Nie należy zadawać pytania „kim jest człowiek?” nie mając wyraźnie w urzędowym dokumencie napisane, że jest się [a] funkcjonariuszem nadbudowy państwa-państwowej, [b] humanistą, pedagogiem i filozofem, [c] Jerzym Grotowskim. Osoby, wymienione w punkcie [c] mogą to pytanie zadawać bezkarnie, nie należąc jednocześnie do kategorii wymienionych w pk. [a]-[b]. Dlaczego? — Przysnągę się bez bicia — nie wiem. Musi, tkwi w tym jakaś metafizyczna szulerka.

Nadszedł czas, aby spojrzeć prawdzie w oczy — problem dyskutowany w felietonie nie należy raczej do tradycji filozoficznej, którą z poczuciem odpowiedzialności za słowo nazwałbym karatejańską. Brak tu precyzji, jasności celu i metody. Przeciwnie — jest ono w równej mierze zagmatwane, co zaprzepaszczone. Sądzę nawet, że jest to pytanie przenoszące na teren nauki znaną opowiestkę o żelaznym wilku, którego — jak wiadomo — nikt nie widział,

a którą straszą pozbawieni autorytetu wychowawcy swych podopiecznych — jeśli nie zjesz mamalaję w sosie waniliowym, przyjdzie żelazny wilk. Analogicznie z pytaniem „kim jest człowiek?”, — jeśli nie będziesz przyzwyczajonym uczniem, napiszesz książkę z zakresu antropologii filozoficznej.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że próby ominięcia pytania, jak wyżej, w tytule i gdzie indziej stawianego, podejmowano w imię wyższych celów korzystających — mimochodem — z majestatu nauki. Z przykrością zauważam, iż pytanie to, należące jak najbardziej do filozofii marksistowskiej, zakładając odpowiedź, wywołuje rzeczzonego wilka z lasu. Mianowicie — problem sąsiaduje z kierunkami filozoficznymi, które nie wykazały się — jak dotąd — twórczym oddziaływaniem na skomplikowane zagadnienia nauki współczesnej. Mam tu wyraźnie na myśli takie szeroko rozpowszechnione kierunki jak egzystencjalizm, filozofię katolicką z centralnym zagadnieniem boga oraz częściowo fenomenologię. Przyzwyczajenie nakazuje jednak zauważyć nam, iż te właśnie kierunki podejmowały naganny trud stawiania pytań o „istotę”, a taki sposób badania rzeczywistości z niewdzięcznym zagadnieniem centralnym człowieka odrzuca raczej pełzanie na powierzchni zjawisk oraz indukcyjne osielstwo jako metodę uogólniającą poczynione spostrzeżenia.

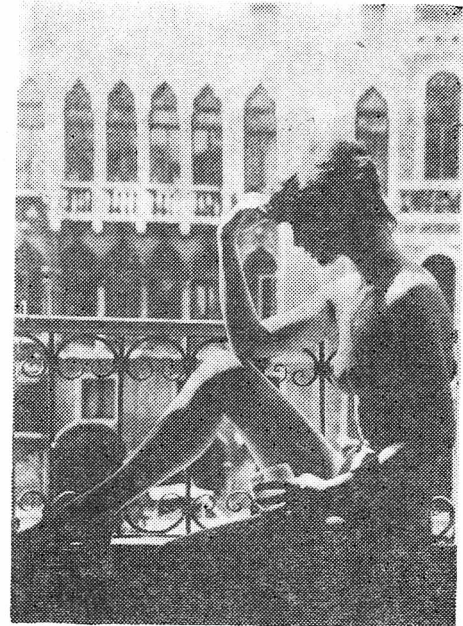
Co natomiast jest faktem? Otóż faktem jest, iż kierunki filozoficzne, które mogłyby pobudzić — kopniakiem chociażby — jak najbardziej doniosłą problematykę człowieka, od marksizmu są raczej daleko, zarówno w perspektywie historycznej, jak i światopoglądowej. Mam tu znowu coś na myśli i nawet skłonny jestem powiedzieć co — mianowicie dwóch pocziwców z XIX wieku: Hegla, Feuerbacha i kilka pomniejszych płotek filozoficznych.

Kierunki w obrębie współczesnej filozofii najbardziej wpływowe, a więc odmiany szeroko rozumianego pozytywizmu, problem różnie pojmowanej istoty) co zakłada pytanie „kim jest człowiek?” (rozwiązały z właściwym sobie prymitywizmem. Tu mała dygresja — nie twierdząc, że dowolna odmiana pozytywizmu jest prymitywna. Osobiście odczuwam wielki szacunek, a nawet coś w rodzaju podziwu dla pozytywisty Carnapa, uważając go tym samym za wielkiego formatu filozofa. Natomiast twierdząc, że prymitywni są jego epigoni, różnej maści specjaliści od przykładowo — formalnej metodologii nauk; ot, takie nikiforki zwyrodniałego pozytywizmu. Do rzeczy jednak. Otóż w ramach jak wyżej — za wyłączeniem Carnapa — pojętego pozytywizmu pytania zmuszającego do głębszego, niż tylko powierzchownego, zdroworozsądkowego analizowania zjawisk, uznano po prostu za metafizyczne. Wskutek takiej okoliczności i z tych — analogicznie — powodów, znane określenie Marksa, że człowiek jest całokształtem stosunków społecznych, pozostało w niezmienionej postaci, od czasu, gdy ukazało się drukiem, a raczej — ostatecznie się gryzącej krytyce myszy.

Brak wyraźnych sukcesów antropologii filozoficznej jest bez wątpienia stanem tej nauki denerwującym, szczególnie w dobie rewolucji naukowo technicznej, o której pewien istniejący filozof powiedziałby, że należy ją rozpatrywać „całościowo”. W pewnej, istotnej mierze brana tu pod lupę antropologia filozoficzna nie przekroczyła progu najpospolitszego porządkowania branej ewentualnie pod uwagę problematyki. Powiedziałby ktoś — zupełnie niespolegliwa jest antropologia. O ile pewnym kryterium stanu świadomości danej nauki może być umiejętność odzierania plew od ziarna, w rzeczowej

nauce taka czynność nie jest jeszcze do przeprowadzenia. Innymi słowy, albo wszystko jest tam istotne, albo to, co zapamiętała tradycja, jest zbieraniną — delikatnie mówiąc — pomysłów, ale nie ponadto. Ale dobre są również wyliczanki typu „ele mele dudki”, czyli antropologicznie, taka dla przykładu ignorantom, idiotom dla nauki, melancholikom dla rozrywki: homo sapiens, homo laborans, homo ludens, homo gaber, homo politicus itp. itd. Przypuszczam, że poszukiwanie jakiejś wspólnej podstawy teoretycznej, takiej mianowicie, względem której wypisane wyżej określenia byłyby lepszymi czy gorszymi konkretyzacjami, jest raczej czynnością na rzut kamienia (nie w człowieka!), bliską lamigłówkom, jakim nie tak wcale dawno oddawali się przodkowie: poszukiwaniu kamienia filozoficznego lub budowaniu perpetuum mobile.

Pewien klasyk i humanista, ale nie filozof, powiedział kiedyś, że człowiek to brzmi dumnie. Platon z kolei powiedział, że ten sam człowiek jest to *jedyną na świecie stworzenie dwunożne, ale pozbawione pierza*. Jego kolega po fachu — Diogenes — na takie dictum oskubał koguta i przedstawił go jako człowieka według definicji Platona, który z kolei — w odpowiedzi na krytykę — wniósł poprawkę do definicji, która brzmiała: *stworzenie dwunożne, pozbawione pierza i o płaskich paznokciach*. Znam lepszą zabawę i jednocześnie pytanie za pięć punktów — jak zmienić definicję klasyka i humanisty, ale nie filozofa, aby uzyskać sens dokładnie odwrotny do naiwnej zakładanego, i co należy dodać, aby na powrót uzyskać sens pierwotny. Wskazówka — w badaniach eksperymentalnych wyłączyć najbliższą rodzinę, nie eksperymentować na babci, bo wyjdzie skarbonka, można natomiast próbować przerabiać igłę na widły.



Fot. ARCHIWUM

W konkluzji: o człowieku wiemy skądinąd dużo; jest wiadome, iż swe człowieczeństwo znajdował on m.in. na szosie wołokołamskiej i nic zapewne nie stoi na przeszkodzie, aby to samo mogło zdarzyć się na trasie łażeniowskiej. W okresie wzmożonego ruchu i dialektycznie zeń wynikającego piractwa drogowego, przechodzenie na drugą stronę jezdni może — istotnie — urastać do rangi heroicznego zrywu; stąd już z pewnością blisko jest do uchwycenia esencji samego siebie i poprawnej odpowiedzi na pytanie — kim jest człowiek. Pozdrawiam mego nieznanego przechodnia — rozmówcę.



W połowie grudnia sala CRZZ w Warszawie była miejscem spotkania aktywu studenckiego Polski. Tematem kolejnej Centralnej Szkoły Aktywu (bo o niej mowa) była rola organizacji studenckiej w kształtowaniu postawy studenta. W obradach udział wzięli przedstawiciele Ministerstwa w osobach tow. Janusza Stemperskiego, tow. Marka Jaśkiewicza i tow. Piotra Gila oraz przedstawiciele wszystkich wyższych uczelni, w których działa SZSP.

Setki młodych ludzi rokrocznie zasila szeregi kadr wykwalifikowanych naszej Ojczyzny. Państwo, które łożyło na ich wykształcenie przez pięć lat, zobowiązuje ich tylko do odpracowania ustawowo określonego czasu. Niedawny student, dziś osobnik zaliczany do inteligencji technicznej, idzie w świat do przemysłu, szkolnictwa, nauki. Jest magistrzem, może używać tytułu, na pieczęcie, na drzwiach czy w książce telefonicznej przed nazwiskiem dopisać trzy literki „mgr”. Tylko czy fakt posiadania dyplomu oznacza, że dany absolwent w pełni odpowiada postawionym przed nim wymaganiom, że w pełni dojrzał do tego tytułu? Chyba nie znajdzie w naszym społeczeństwie osoby, która odpowie na to pytanie twierdząco. Bardzo często słyszymy negatywne opinie o osobach z wyższym wykształceniem. Pomiję tu opinie dotyczące charakteru czy upodobań, bo to jest ponoć sprawa osobista. Chciałbym

natomiast rozwinąć inną myśl, a mianowicie — negatywną ocenę zaangażowania społeczno-politycznego młodych kadr inżynierskich. Kto jest winien? Zakłady twierdzą — że uczelnia, uczelnia — że zakłady, młodzi pracownicy — że jedni i drudzy. Ja myślę, że prawda nie jest tak jednoznaczna. Narzekając na morale absolwentów uczelni zapominamy, że kształcenie charakterów rozpoczyna się dużo wcześniej, i że proces wychowania przyszłego obywatela w kierunku służenia społeczeństwu należałoby zacząć od najmłodszych lat.

— Czy Uczelnia potrafi nadrobić zaległości jakie nowo przyjęty student przyniósł ze sobą? — zapytał mnie kiedyś jeden z pracowników Inst. Nauk Społ. P. W. Nadrobić może się uda, ale czy zmieni utrwalone już postawy?

Widzę tu wielkie pole do opisu dla organizacji studenckich; zarówno jeśli chodzi o uspołecznienie studenckiej rzeczy jak i o popularyzację podstawowych zagadnień społecznych w środowisku. To jasne, że same szkolenia nie zafatuja sprawy, potrzeba czegoś więcej, potrzebne są dyskusje światopoglądowe, spotkania z ludźmi którzy na tej płaszczyźnie mają rzeczywiście coś do powiedzenia. Wszystko to w zasadzie się robi, tylko że sale gdzie odbywają się takie spotkania zazwyczaj świecą pustkami. Przyczyna jest chyba prosta. Otóż w środowisku pokutuje obraz spotkań dyskusyjnych sprzed lat kilku, kiedy dyskusje polegały na odczytywaniu

wcześniej przygotowanych tekstów, zwyczaj nudnych i nie zawsze stojących na najwyższym poziomie. Opinia, utrwalona przez lata, wiąska głęboko w środowisko. Taki stan rzeczy trzeba zmienić. I zależy to tylko od nas.

Absurdem byłoby twierdzić, że środowisko studenckie nie prowadzi polemik na tematy społeczne. Tylko, że toczą się one, zwłaszcza te żarliwe, w pokojach studenckich, nie wychodzą do klubów. A mogłyby przecież zmienić się w otwartą dyskusję na szerszym forum z udziałem odpowiednio przygotowanego lektora. Czas aby środowisko studenckie, które niebawem przejmie kolejną zmianę sztafety pokoleń, przejmowało ją świadomie, by żyło aktualnościami, komentowało je, wyrażało swoje sądy, propozycje, zmiany na lepsze. Nie zapominajmy jednak, że żeby mądrze dyskutować trzeba znać zagadnienie, być świadomym swojej postawy. Ale spotkania, dyskusje, prelekcje także nie wystarczą. Zdaję sobie sprawę, że są to półśrodki. Organizacja powinna przeniknąć środowisko głębiej. Trzeba do tego celu wykorzystać grupy działania, trzeba pobudzić je do dalszych poszukiwań w dziedzinie samowychowania. Grupa jest także podstawową cząstką Turnieju Wiedzy Politycznej, to ona wystawia drużynę, to ona broni później barw instytutu, też więc wychowuje.

Wszystkie te czynniki mają niewątpliwie wpływ na kształtowanie się po-

staw, ale jest ich chyba za mało, by mówić o właściwym podejściu studentów do pracy, organizacji. Niezwykle przydatne mogą się tu okazać prace kół SNS przy Instytucie Nauk Społecznych. Może w ramach badań nad samorządnością studencką przeanalizowany zostanie także problem światopoglądu środowiska studenckiego. Myślę, że kompleksowe badania ułatwiłyby wdrożenie pewnych myśli, a chociaż zapofilowałyby kierunki działania.

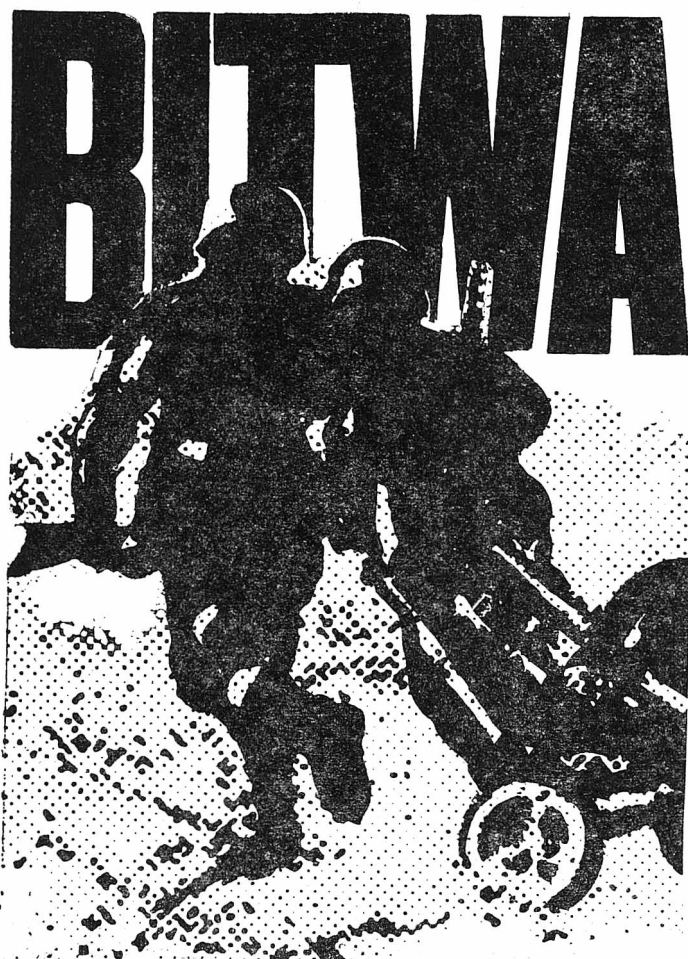
Wprowadzone przed kilku laty do programu naszej Uczelni elementy nauk społecznych winny zbliżać studentowi zagadnienia społeczno-polityczne kraju i świata, ale także winny wychowywać. Niestety analiza różnych środowisk studenckich naszego kraju wykazały, że studenci nie przykładają większej wagi do tych przedmiotów, czasem wręcz je ignorują. Dziwne może się to wydawać, bowiem znajomość podstawowych prawideł naszego ustroju w społeczności akademickiej jest zastraszająco słaba. Wzrost zainteresowania tymi przedmiotami zależy w przeważającej mierze od kadry dydaktycznej, ale nie bez znaczenia mógłby okazać się wpływ organizacji społecznych.

Nie będzie przesadą twierdzenie, że pracownik dydaktyczny winien być obarczony odpowiedzialnością za kształtowanie postaw wychowawczo-ideologicznych studenta. Aktyw studencki sugeruje zaostrożenie kryteriów przyjmowania na stanowiska asystentów i star-

szych asystentów. Dobrze się składa, że jednym z warunków pracy społecznej jest posiadanie odpowiednio wysokich wyników w nauce (aktyw osiąga średnie w granicach 4,5 a nawet 5,0). Dobrze byłoby, gdyby właśnie oni tworzyli przyszłą kadrę dydaktyczną Uczelni. Wzorowi studenci, a zarazem sprawdzeni działacze powinni spełnić podstawowe warunki stawiane dydaktykom-wychowawcom.

Studentowi stawia się szereg warunków na egzaminie wstępnym, a jakie warunki musi spełnić kandydat na stanowisko asystenta? — zapytał przedstawiciel środowiska poznańskiego na ostatniej CSA.

— Przypuśćmy, że jest grudeń — mówi dyrektor jednego z zakładów naszej Uczelni — ja mam kilka wolnych etatów. Muszę kogoś przyjąć na te miejsca, bo mi one przepadną na rok następny. I przyjmuję nie zastanawiając się nad przydatnością dydaktyczną danego osobnika, a zapewniam, że łatwiej jest przyjąć niż zwolnić. — Czy tak powinno być, czy taki sposób naboru kadry jest odpowiedni? — Podstawowym kryterium przyjęcia na stanowisko asystenta jest jego średnia wyników w nauce — usłyszałem kiedyś w trakcie dyskusji. Zainteresowałem się osobą wypowiadającą te słowa trochę bliżej. Średnia 4,7, nie należał do ZSP ani ZMS. Podobno znał materiały, nieśtet tylko dla siebie. Czy o takich dydaktyków nam chodzi?



z perspektywy plutonu

Ludwik Polański

Było już dobrze szaro w marcowe popołudnie 1945 roku, jak 8 pp, w którym służyłem jako dowódca plutonu ckm, rozlokował się w jakiejś wsi pod Kołobrzegiem na nocny odpoczynek. Za horyzontem, z niedalekiej odległości Kołobrzeg wyglądał jak ognista kula. Z walczącego już drugiego dnia, czerwonego piekła dochodziły serie z pistoletów maszynowych i głuchoe detonacje ręcznych granatów. Przy pomocy szefa i dowódców drużyn rozlokowałem w dogodnych kwaterach żołnierzy i konie. Kiedy po całodziennym, trudnym marszu ułożyłem się do snu, do pokoju wszedł mój goniec – szer. Cichocki i zameldował: *Obywatelu chorąży, z rozkazu szefa sztabu pułku, natychmiast zameldować się w sztabie – ja poprowadzę.* Zerknąłem na zegarek. Była godzina 20.00.

W sztabie, w małym pokoiku, pochylony nad mapą siedział szef sztabu major Stefan Mormitko, a przy nim dowódcy plutonów artylerii, moździerzy, rusznic, zwiadu, kompanii szkolnej i kilku innych oficerów których nie znałem. Gdy zameldowałem swoje przybycie, major przedstawił mnie dowódcy pułkowej kompanii szkolnej. Jeśli mnie pamięć nie myli, był to ppor. Baltazar Garlicki. Od tej chwili zostałem wraz z plutonem podporządkowany mu jako wsparcie jego kompanii.

Odprawa w sztabie trwała krótko. Ostatni rozkaz nakazywał natychmiastową zbiórkę oddziałów pułku gotowych do dalszej drogi. Widząc co mnie czeka, natychmiast pobiegłem do plutonu. Niektórzy żołnierze już spali. Bardziej doświadczeni oczekiwali mojego powrotu.

Alarm w plutonie trwał krótko. Po ciemku wyprowadziłem na drogę cztery wozy wyładowane karabinami maszynowymi, amunicją i osobistym ekwipunkiem żołnierzy. Ledwie zdążyłem zameldować swoją gotowość do marszu kolumna zaraz ruszyła w kierunku coraz jaśniej płonącego miasta. Teraz już dla każdego żołnierza stało się jasne dokąd podążamy.

Marsz trwał nie więcej niż półtorej godziny. W niedalekiej odległości od miasta wozy zatrzymano, tylko artyleria o ciągu konnym zniknęła w ciemnościach i nakazano mi rozładować wszystko co było niezbędne żołnierzom. Dalszą drogę prowadzoną przez łącznika odbyłem pieszo. Wyładowany tabor zawrócono. Na punkcie amunicyjnym, urządzonym przy drodze biegnącej z Karlina, o jakieś 300 m od kościoła św. Jerzego wyfasowałem spory zapas amunicji i granatów. Mnie wyspano ponad pół torby polowej amunicji do pistoletu, a na pas zawieszono 6 sztuk granatów F-1.

Karabiny maszynowe rozmieściłem w pierwszych zabudowaniach na południowym skraju miasta. Jeden karabin z ostrzałem na kościół, drugi na młyn, trzeci i czwarty w parku za jeziorem z polem ostrzału na wysokie kamienice. Mimo, że wraz z kompanią szkolną pułku stanowiłem drugi rzut, odległość od nieprzyjaciela wynosiła więcej niż 100 m. Około godziny 23.00 kpr. W. Partyka i kpr. Klimaszewski otworzyli pierwszy ogień. Hitlerowcy robili wszystko, by wojska nasze wyprzeć z miasta.

Do rana na stanowisku dowodzenia dowódcy kompanii nie zmrznięłem oka. Nieustanna strzelanina, odbieranie meldunków od gońców, telefon, uczucie lęku o utrzymanie się na zajmowanych stanowiskach, wiadomości o rannych lub zabitych, wypełniały mi czas aż do rana.

Rano, mimo zmęczenia nastroje wśród żołnierzy były zadowolające. Szef jak zwykle w takich sytuacjach nie zapominał i tym razem o „gorzelnianym”.

Aby trochę odpocząć, położyłem się na stanowisku ogniowym karabinu maszynowego kaprała Partyki. Od młyna wciąż dochodziły odgłosy serii niemieckiego MG-42. Wyrzawa przez szparę w bramie i dostrzegłem, jak z ciemnej czeluści okna drugiego piętra pruły powietrze świecące pociskami. Pokazałem je kapralowi. Bez namysłu oparł ręce na tyłce, naprowadził minimalnie wylot lufy na cel i nacisnął na spust. Posłuszny „maksym” rytmicznie zadgotał, a jego kule trafiły. Z tego okna nie padły już więcej strzały.

Uspokojony sukcesem próbowałem zasnąć, gdy nagle pod bramą rozległ się potężny huk. To wybuchł granat ręczny, rzucony zza parkanu przeciwnej strony ulicy. Odłamki posiekały bramę, ale kapral z karabinem wyszedł cało. Mnie odeszła chęć do spania. Za chwilę nastąpiło przygotowanie artyleryjskie i ruszyło natarcie. Zająłem młyn i wyszedłem na ulicę biegnącą obok kościoła, w stronę Karlina. Gdzieś dobrze ukryty strzelec oddał do mnie dwa, a może trzy, na szczęście niecelne strzały.

Szukając schronienia w bramie, która jak na złość była zamknięta, przecisnąłem się do niej plecami. Futryna jednak była wąska, więc musiałem dla strzelca być jeszcze widoczny, bo następny strzał przeszył mi lewy rękaw munduru między ramieniem a łokciem. Kilka pocisków artyleryjskich pędzących w tamtą stronę wybawiło mnie z opresji. Spocony wróciłem do młyna. Tu zastałem załogę dział pancernego JS. Poczułem się znacznie silniejszy i pewniejszy, mimo że wszędzie naokoło strzelano. Nagle ktoś zawołał „przerwać ogień”. Wybiegłem na ulicę, w odległości 300 m zauważyłem grupę ludzi z białą flagą. Kiwnąłem na nich ręką, więc podeszli do mnie. Byli to żołnierze Wehrmachtu, w liczbie około 25-ciu z podoficerem na czele. Prosił by zabrać ich do niewoli, a „Hitler kaput”.

Wskazując im dalszą drogę, usłyszałem wołanie o pomoc. Z bocznej uliczki, chwając się na nogach szedł radziecki żołnierz. Złapałem go pod pachę prawej ręki by nie upadł na bruk. Miał postrzelone lewe ramię. Ręka z roztrzaskaną kością zwiisała mu na strzępach mięśni i skóry. Mimo, że mocno krwawił i mdlał mi na rękach, zdołał powiedzieć, że jest zwiadowcą i ma 18 lat. W dość ciężkim stanie dowlokłem go na punkt medyczny.

W wyniku natarcia wzdłuż Al. I Armii WP, znalazłem się na Pl. pka Wróblewskiego. Karabiny maszynowe rozmieściłem wewnątrz budynków z kierunkiem ostrzału na plac, na budynek, w którym obecnie mieści się Liceum Pedagogiczne i wzdłuż ulicy w lewo od starej baszty. W godzinach popołudniowych jeden ckm umieszczony w oknie na parterze, przy sklepie rzeźniczym, kilka razy otwierał ogień. Po zapadnięciu zmroku, prawie w całym mieście zapanała cisza. Tylko od czasu do czasu, padały pojedyncze strzały.

Gdzieś mniej więcej o północy kilka pocisków grubszego kalibru spadło na cały kwartał budynku i spowodowało pożar. Wartownik kilka razy mnie budził i meldował o niebezpieczeństwie, było to zbyt mało wobec przeważającej potrzeby snu. Dopiero, kiedy płomień zaczęły ogarniać dolne kondygnacje zabudowań, a kłęby dymu wdziarać się do bramy, w której spaliliśmy, opuściliśmy dogodnie lokum i rozeszliśmy się na stanowiska ogniowe.

Dziś już nie jestem w stanie odtworzyć sobie przebiegu dalszego natarcia. W każdym razie pod ogniem artylerii nieprzyjacielskiej jednym skokiem spod „Baszty” zatrzymałem się w podwórzu za zabudowaniami rozlewni piwa. Ostrożnie spenetrowaliśmy piwnice. Poza kilkoma pełnymi beczkami w ciemnym kącie potknąłem się o wózek dziecięcy. Odchyliłem poduszkę i w świetle zapalki dostrzegłem niemowlę. Gdybym nie odsunął poduszki, udusiłoby się. Mimo dalszych poszukiwań, w zakamarkach piwnic nie znaleźliśmy nikogo. Dla ugaszenia pragnienia, moździerzyści otworzyli beczkę. Ze stajni należącej do rozlewni żołnierze wyprowadzili ładnych parę koni. Widocznie dawno nie były pojone, bo galopem pobiegły do pustych wiader. Ale skąd wziąć dla nich wodę? Więc i konie poczęstowano piwem. Nie wiem czy to na skutek pijaństwa, czy z radości, że uratowano je przed spłonieniem, para bułanków poczęła wyczyniać różne harce. Stawały dęba, zataczały się i nieszkodliwie wzajemnie się gryzły.

W którejś z kolejnych walk, dla umocnienia zdobytych ulic i domów rozkazano mi bronić poczty z przylegającym do niej niedużym placem i w lewo od poczty ulicy, przy której stoi łaźnia oraz mostów na rzece Parsęta i kanale. Z prawego narożnika poczty miałem dobre pole ostrzału w kierunku dworca i zabudowań (teraz stoi tam hotel SKAN-POL). Z lewej strony piętrowego budynku przy mostach była dobrze widoczna dogorywająca twierdza. Poczta interesowała mnie szczególnie. Tu znalazłem sporo paczek z czystą bielizną, która dla mnie i dla wielu żołnierzy była cenną zdobyczą. Z kasy wyrzucono stosy Reichsmarek. Obładowałem nimi kieszenie i torbę połową z myślą, że dojdę do Berlina i po raz pierwszy w życiu, w dniu zwycięstwa solidnie się zabawię. Stało się inaczej. Z rozkazu dowództwa mu-

siałem pobrać większy zapas amunicji i granatów. Wyśmiany przez kolegów, rad nieraad z żalem wyrzuciłem kilkadziesiąt tysięcy marek. W wypróżnione kieszenie i torbę połową wsypałem amunicję.

Noc na ogół była spokojna. Dopiero o świcie, gdzieś w okolicach portu wzmogła się gwałtowna strzelanina, po której raptem nastąpiła cisza. W parę minut później podano, że miasto zostało zdobyte. Mimo, że trochę niedowierzałem, nakazałem jednak zbiórkę drużyny przed pocztą. Ktoś dał mi rozkaz maszerować prosto przed siebie do portu. Idę skrajem parku do bramy portowej i dalej aż do samego morza, musiałem się wspinać po sięgających pierwszego piętra stertach walizek, tobołów, wózków dziecięcych itp. zwalonych beładnie rzeczy. Wśród tych rzeczy leżało sporo zabitych i rannych — żołnierzy i cywilów. Wyjście nad samo morze było dla mnie podwójną radością. Pierwsza radość i duma ze zwycięstwa, druga — że po raz pierwszy w życiu ujrzałem morze.

Tak jak każdy z naszych żołnierzy podbiegłem do wody, spróbowałem jej smak, a mokrą ręką otarłem czoło i twarz. Idąc dalej mołem doszedłem aż na jego cypel. Znany mi dobrze jeszcze sprzed wojska sierżant z 6 DP wspiał się na latarnię morską i zawiesił na niej białą-czerwoną flagę. W grupie około 100 zdobywców portu ustawiliśmy się w dwus szeregu frontem na zachód i za zwycięstwo oddaliśmy długie serie z broni, którą walczyliśmy. Na horyzoncie dobrze widoczne z brzegu stało 5 czy 6 okrętów nieprzyjacielskich.

Po tej niecodziennej żołnierskiej uroczystości znajomi i nieznajomi składali sobie nawzajem gratulacje. Dla mnie robota w tym mieście się skończyła. Zebrałem pluton i wróciłem do śródmieścia. Szwendając się trochę po rozbitych ulicach odnalazłem mojego szefa z wozami. Aby trochę odpocząć, usiadłem na chodniku i nawet nie wiedziałem kiedy zasnąłem. Obudziłem się późno po południu. Zaślubiny z morzem przespałem. Nazajutrz w godzinach rannych opuściliśmy Kołobrzeg. Szliśmy bocznymi drogami w kierunku południowym. Po drodze mijali nas z tobołkami na plecach pierwsi mieszkańcy tego, co kiedyś było miastem.

ppłk rez. mgr LUDWIK POLAŃSKI

Walki uliczne o Kołobrzeg

Fot. WAF — ARCHIWUM



Σ informuje

Współpraca z zagranicą Sprawy studenckie

W minionym roku Pion Współpracy z Zagranicą pośredniczył w wyjazdach ok. 550 pracowników naszej Uczelni na staże, konferencje z wykładami, odczytami itp. Najwięcej osób wyjechało za granicę z I-16 (25) i Ośrodka Badań Progностycznych (26). Najczęściej odwiedzanymi krajami były: NRD, CSSR, ZSRR, gdzie wyjechało łącznie 329 osób. W tym samym okresie Politechnikę Wrocławską odwiedziło ponad 410 gości z zagranicy, w tym ok. 150 osób z NRD. Najczęściej odwiedzanym był Instytut Matematyki, w którym przebywało 27 gości zagranicznych.

✱

Do 6 ośrodków uniwersyteckich w USA wyjechała delegacja Politechniki w składzie: prorektor doc. Bogusław KEDZIA, doc. Alfred DZIENDZIEL, prof. Hilary GUMIENNY i prof. Stanisław GLADYSZ.

✱

W styczniu przebywali w Politechnice Wrocławskiej: prof. A.I. KITAJGORSKI z Instytutu Związków Organicznych Akademii Nauk ZSRR, prof. TREUBNER i prof. DUBRAN z WSI Drezno, doc. W. MINKA i inż. A. CERMAKOWA z Wyższej Szkoły Chemiczno-Technologicznej w Pradze.

Wizyty zagraniczne

W Bibliotece Głównej i Ośrodku Badań Progностycznych przebywał od 25 I — 1 II br. z cyklem wykładów — dyrektor biblioteki Królewskiego Instytutu Technologii w Sztokholmie.

Inne

Od 23 stycznia połączenia telefoniczne numerów wewnętrznych należących do innych central Politechniki z numerami wewnętrznymi rejonu „E” odbywa się tak, jak połączenie z numerami miejskimi: przez wykręcenie cyfry „0”, a następnie, po uzyskaniu sygnału, wybranie numeru sześciocyfrowego (206 plus dotychczasowy numer wewnętrzny). Numery wewnętrzne rejonu „E” łączą się między sobą przez wykręcenie czterocyfrowego numeru (cyfra 6 plus dotychczasowy numer wewnętrzny). (—)

Wybrano nowe władze Klubu Uczelnianego AZS. Prezesem został Zdzisław SIKORSKI z IV r. Wydz. Podstawowych Problemów Techniki, zaś wiceprezesami: Józef RYPINSKI również z IV r. WPPT, oraz Marek KARPINSKI.

✱

13 I br. w Klubie U Grubeego odbyło się zebranie organizujące się sekcji Żeglarskiej KU AZS. W ustalonym na najbliższy okres planie pracy przewidziano zorganizowanie w Bożkowie atrakcyjnej imprezy *Ekspres Narty*.

✱

W ramach cyklu *Spotkania z kulturą*, DKF Politechnik pod patronatem Działu Imprez Studenckich przygotował na 30-lecie zakończenia II wojny światowej przegląd filmów archiwalnych i współczesnych pod nazwą *Film wobec faszyzmu*, połączony z uzupełniającymi referatami.

✱

W kinie POKÓJ odbywają się studenckie wtorki filmowe. W wyniku porozumienia RU SZSP i Okręgowego Zarządu Kin, zniżkowe bilety dla studentów sprzedaje Komisja Kultury RU SZSP.

✱

W czasie tegorocznej przerwy międzysemestralnej 76 najaktywniejszych działaczy SZSP naszej uczelni przebywało od 10-15 II w miejscowości Wdzydze (woj. gdańskie) w ramach Zimowej Szkoły Aktywu.

Wystawy

Informatyka — od 6-8 lutego br. Zgromadzono różnorodne książki z zakresu informatyki.

Amerykańska książka techniczna — od 10-15 lutego br.

Habilitacje i doktoraty

Centralna Komisja Kwalifikacyjna do Spraw Kadr Naukowych zatwierdziła stopnie doktora habilitowanego nadane przez: Radę Wydziału Architektury — dr inż. Edmundowi MAŁACHOWICZOWI z Instytutu Historii Architektury, Sztuki i Techniki, Radę Wydz. Budownictwa Lądowego — dr inż. Mieczysławowi RYBAKOWI z Instytutu Badawczego Dróg i Mostów w Warszawie, Radę Wydz. Elektroniki — dr inż.

Janowi KAZIMIERCZAKOWI z Instytutu Cybernetyki Technicznej.

Inwestycje

Pod koniec 1974 r. dokonano odbioru technicznego i przekazano do zagospodarowania: Pawilon Geotechniki przy pl. Grunwaldzkim 7, Dom Studentcki przy ul. Wittiga 6 (600 miejsc), budynek przy ul. Krasieńskiego 15a (dla ZANiD-u), budynek dla Instytutu Układów Elektromaszynowych przy ul. Norwida 7.

Problemy systemów informacyjnych

W dniach 6-7 lutego br. odbyła się Krajowa Konferencja Naukowa „Problemy Wielodostępnych Systemów Informatycznych” zorganizowana przez Politechnikę Wrocławską (Instytut Cybernetyki Technicznej, Instytut Organizacji i Zarządzania, Zakład Informatyki), Polski Komitet Automatycznego Przetwarzania Informacji Oddział we Wrocławiu oraz Towarzystwo Naukowe Organizacji i Kierownictwo Oddział we Wrocławiu.

Konferencja miała na celu umożliwienie zaprezentowania i przedyskutowania najnowszych osiągnięć krajowych zarówno w dziedzinie badań nad projektowaniem i budową wielodostępnych systemów informatycznych, jak i wymianę doświadczeń zdobytych w praktycznym zastosowaniu tych systemów w działalności jednostek organizacyjnych. Konferencja umożliwiła uczestnikom pogłębienie istniejącej i nawiązanie nowej współpracy między instytucjami zajmującymi się systemami abonenckimi i producentami środków informatyki oraz wytyczyła kierunki prac na najbliższą przyszłość.

Podczas konferencji odbyły się cztery sesje problemowe: I — Zagadnienia Ogólne, II — Badanie i Projektowanie Systemów Wielodostępnych, III — Transmisja Danych w Systemach Wielodostępnych, IV — Zastosowanie Systemów Wielodostępnych. Wygłoszono około 30 referatów z różnych ośrodków krajowych m.in. z Instytutu Badań Jądrowych w Świerku, Centrum Obliczeniowego PAN, ZETO Wrocław, Wojskowej Akademii Technicznej. W konferencji wzięli udział goście z kilku ośrodków zagranicznych m.in. prof. A. Gilmour — University College of Swansea, dr R. Pořízek — Výskumné Vypočtové Středisko Program OSN z Bratisławy, prof. J. Scala Estalella — Servicio Central de Informatica z Madrytu, R. Graves — European Institute for Advances Studies in Management z Brukseli. Uczestnicy konferencji mieli możliwość dokładnego zwiedzenia Elwro, Zeto oraz WASC w Politechnice Wrocławskiej. Program Konferencji był zbyt przeładowany i często po ciekawszym referacie brakowało już czasu na dyskusję, na co szczególnie narzekali uczestnicy konferencji.

Maga

SEP

W dniach 16-21 stycznia br. w antresoli Gmachu Głównego była czynna wystawa prac dyplomowych Wydziału Elektroniki. Wystawa została zorganizowana przez Stowarzyszenie Elektryków Polskich przy współpracy SZSP i SNS. Na wystawie przedstawiono szereg prac dyplomowych wykonanych w ostatnich 3 latach. Większość z nich stanowiły prace nagrodzone w corocznych konkursach prac dyplomowych organizowanych przez SEP. Prezentowane prace, składające się z części teoretycznych i praktycznie wykonanych urządzeń, obejrzało blisko 500 osób. Zwiedzający podkreślali celowość częstszego organizowania podobnych wystaw. Organizatorem wystawy z ramienia SEP był kol. Marek Gotfryd, a przy jej organizacji wyróżnili się: kol. Krystian Rudzki i kol. Wiesław Szuba.

(—)

Moment otwarcia wystawy przez wiceprezesa ZOW SEP prof. Z. Karkowskiego.



Teatr instrumentalny Politechniki Wrocławskiej który działa przy RU SZSP weźmie udział w tegorocznych konfrontacjach jazzowych *Jazz nad Odrą*. Trzon zespołu (15 osobowego) tworzy grupa instrumentalistów pod batutą G. Miśka.

✱

22 i 23 marca w Gmachu Głównym odbędzie się otwarte Seminarium Muzyki Jazzowej. W programie oprócz części teoretycznej występy koncertowe znanych zespołów i instrumentalistów.

✱

W każdy czwartek na godz. 20.00 Klub *Znicz* zaprasza na koncerty jazzowe. Wstęp wolny.

✱

Suma Sumarum — to tytuł biuletynu informacyjnego polskich studentów uczących się w Leningradzie. Wydawnictwo ukazuje się systematycznie, informując liczną grupę polonijnych o wydarzeniach żaków.

✱

W czasie przerwy międzyseminarnej wyjechał z ZSRR kolejny Studencki Pociąg Przyjaźni. W trzysobowym składzie znalazło się trzech przedstawicieli naszej Uczelni. Uczestnicy Pociągu Przyjaźni odwiedzili Moskwę, Rygę i Leningrad biorąc udział w licznych spotkaniach ze studentami Kraju Rad.

✱

21-23 lutego w Bożyńcu obradował Sejmik Turystyczny zor-

ganizowany przez KTIS ZW SZSP.

✱

Kierunki kształcenia kadr turystycznych oraz Organizacja i struktura turystyki na szczeblu RU — to tematy kolejnego spotkania Krajowej Rady Aktywu Turystycznego, które rozpocznie się 11 kwietnia w Augustowie.

✱

1 marca rozpoczyna się *Turniej Wiedzy Politycznej*, który w tym roku przebiega pod hasłem: *Program VI Zjazdu PZPR — programem narodu*. Turniej będzie przebiegał w dwóch kategoriach:

1. drużynowych — na forum Uczelni poszczególne instytuty reprezentuje grupa działająca wyłoniona w drodze wewnętrznych eliminacji;
2. Konkurs na najlepsze opracowanie teoretyczno-naukowe i publicystyczne problematyki VI Zjazdu.

✱

Bogate plany na najbliższe miesiące ma STP *Gest*. 17 III w ramach Tygodnia Teatrów Studenckich we Wrocławiu Pantomina wystąpi z przedstawieniem *Psy*. Od 12-16 III zespół wyjeżdża na występy do Warszawy i Białegostoku, a potem planowane jest przedstawienie na rodzinnym podwórku, tzn. w Auli P.Wr. (o ile zostanie udostępniona). Na początek kwietnia *Gest* znowu gościć będzie w Warszawie na II Konfrontacjach Teatralnych, a od 17-20 IV w Szczecinie na Przeglądzie Teatrów Pantomimy i Baletu Nowoczesnego.

✱

22-23 lutego przewodniczący Grup Działania ICT uczestniczyli w sesji szkoleniowej poświęconej roli organizacji w systemie kształtowania postawy społeczno politycznej studentów.

Stubil działa!

Wszystkich zainteresowanych imprezami kulturalnymi in-

formujemy, że kasy STUBIL-u są czynne w A-1:

poniedziałek	— 11.30 do 12.30
wtorek	— 13.30 do 14.30
środa	— 13.00 do 14.00
czwartek	— 14.15 do 15.15

Ponadto Komisje Kultury mogą rezerwować imprezy dla swoich Instytutów po wcześniejszym porozumieniu ze Stubilem.

HaWa

Jazz nad Odrą

Organizatorzy JnO donoszą: Trwają pertraktacje z profesjonalnymi grupami zagranicznymi. Rysuje się realna perspektywa ponownego usłyszenia we Wrocławiu jednego z najciekawszych muzyków europejskich Johna Surmana. Jego nowa grupa *SOS* (John Surman, Mike Osborne, Alain Skidmore) jest bardzo zainteresowana przyjazdem na Festiwal (a przy okazji na kilka koncertów w innych miastach kraju) i jeżeli uda nam się wspólnie z Polskim Stowarzyszeniem Jazzowym rozwiązać kłopoty związane z bardzo wysokimi kosztami przejazdu — naszych jazzmanów czekać będą duże przeżycia muzyczne. Być może usłyszymy międzynarodową grupę znanego krakowskiego saksofonisty Leszka Żądło. Natomiast miłośników jazzu tradycyjnego z pewnością ucieszy wiadomość, że na dobrej drodze znajduje się sprawa przyjazdu na Festiwal Will Bill Davisona (tp). Ten weteran jazzu przeżywa obecnie swoją drugą młodość, a we Wrocławiu wystąpiłby z warszawskim *Golg Washboard*. Atrakcyjnie zapowiada się koncert *EUROJAZZ*, z udziałem amatorskich i półprofesjonalnych zespołów zagranicznych. W ostatnich dniach organizatorzy zostali wręcz zarzuceni ofertami z całego kontynentu (a nawet ze Stanów Zjednoczonych), wśród nich znalazło się kilka nazwisk wysoko notowanych w Europie. Należy więc przypuszczać, że wybrane przez organizatorów grupy reprezentować będą wysoki poziom, a konfrontacja z młodymi polskimi jazzmanami będzie bardzo interesująca.

W dniach 15 i 16 lutego komisja kwalifikacyjna rozpatrzy zgłoszenia amatorskich zespołów krajowych.

Do jury Festiwalu zaproszono, podobnie jak w poprzednich latach, wyłącznie muzyków i krytyków zajmujących się profesjonalnie jazzem. Skład jury: Jan Byrczek, Jan Jarczyk, Ole Mathiessen (Dania, Przew. Sekcji Muzyków EFJ), Włodzimierz Nahorny, Zbigniew Namysłowski, Zbigniew Piotrowski, Jan Poprawa, Andrzej Trzaskowski, Roman Waschko i Jan Ptaszyn Wróblewski. Ten zestaw nazwisk stanowić będzie, z całą pewnością, gwarancję właściwej oceny amatorskich zespołów.

(—)

Sprostowania:

Za błędne podanie imion (Sigma 5/65) redakcja przeprosza bohaterkę artykułu pt. *Duet sympatyczny* — p. STANISŁAWĘ SKALSKĄ oraz autora art. *Dialog z Socjaldemokracją* — ZENONĄ PUSTELNIKA.

Fot. J. BACHRIJ

Zdjęcia: J. SAMOTUS



wszystko własnymi rękoma

Przejście przez magazyn przypomina wędrówkę przez labirynt. Aby dotrzeć do szefa, trzeba przebrnąć przez nieskończoną ilość wąskich i krętych korytarzyków, pokonać prawdziwy tor przeszkód i wiele pułapek. U celu wędrówki znajduje się mały pokój, w którym od roku „zarządza” pan Marian BIEGASIEWICZ — główny magazynier Działu Socjalnego naszej Uczelni. On właśnie magazyn ten zorganizował. Zagospodarował swoimi rękami jedną z piwnic mieszczącą się na zapleczu Gmachu Głównego. Usunął gruz, odmalował ściany, założył instalację wodną i elektryczną. W pracy tej korzystał z doświadczeń jakie zdobył pełniąc przez dziewięć lat funkcję magazyniera w Dziale Zaopatrzenia Politechniki. Tam również zaczynał od podstaw. Musiał nawet własnoręcznie dobudować brakujące fragmenty murów.

W tej chwili magazyn Działu Socjalnego posiada dobrze zorganizowane zaplecze. Materiały leżą porządkie popakowane, w pokoiku głównego magazyniera — ciepła woda. Kłopoty sprawia tylko droga jaką trzeba pokonać, by wydostać się na zewnątrz — zwłaszcza, gdy należy przewieźć jakiś towar. I na to pan Biegasiewicz znalazł radę. Skonstruował specjalny wózek do przewożenia cięższych przedmiotów. Mimo trudnych warunków lokalowych magazyn funkcjonuje bez zarzutów. Zgodnie ze swoim przeznaczeniem zaopatruje wszystkie kluby naszej Uczelni i ośrodki wypoczynkowe Politechniki. Codziennie do magazynu znosi się tony różnego rodzaju produktów. Trzeba je zaksięgować, a następnie rozwieźć do wszystkich czekających na nie instytucji. Same środki spożywcze wydawane codziennie na zaopatrzenie sięgają kwoty 50-60 tys. złotych. A oprócz tego jest jeszcze zaopatrzenie ośrodków wypoczynkowych; od nakryć stołowych poczynawszy, poprzez meble, na telewizorach kończąc.

Pan Biegasiewicz nie narzeka na nudę. Z reguły swoją pracę kończy, nie jak to powinno być o 15.00, ale o 17.00, 18.00 wieczorem. Gdy w klubach organizowane są wystawy, przy których urządzaniu pomaga, zdarza się, że w pracy musi spędzić całą noc. Mimo to, nie narzeka na nadmiar obowiązków, a raczej sam sobie wyszukuje coraz to nowe prace, których efekty tak bardzo uprzyjemniają nam życie na co dzień. Planuje m. in. zakupienie na okres letni pojemników na lody i dostarczenie ich do klubów. Jedyną bolączką p. Biegasiewicza jest brak stałego samocho-

du dostawczego, którym mógłby dowozić do klubów produkty spożywcze. Dział transportu przydzieli mu co prawda stary i zdezelowany wóz, ale przecież do przewożenia środków spożywczych przydałby się porządny samochód z zorganizowanym zapleczem. Pan Biegasiewicz nie należy co prawda do ludzi, u których drobne trudności mogłyby zahamować inicjatywę, ale dobry transport jest Jego marzeniem.

Oprócz codziennych obowiązków polegających na zaopatrywaniu klubów i ośrodków wczasowych p. Biegasiewicz zajmuje się również naprawą sprzętu zmechanizowanego w klubach (lady chłodnicze, lodówki). Społecznie — od kilku lat nosi berła Szkoły podczas uroczystości odbywających się na naszej Uczelni. Z zamiłowania zajmuje się uprawą ogródka działkowego i budową domku dla rodziny, który rozpoczął dziesięć lat temu, od fundamentów po dach — stawiając wszystko własnymi rękoma. Praca Jego spotyka się z uznaniem zarówno ze strony Władz Uczelni, czego dowodem są rokrocznie przyznawane Mu nagrody J.M. Rektora, jak i zwierzcowników. Budzi ogólny szacunek, tak jak zawsze, gdy spotykamy skromnego, pracowitego człowieka.

DOR

* * *
Nawiązując do artykułu *Administrator Przyszłości* (Sigma nr 9/59), miło nam zakomunikować, że 20 stycznia br. 23 osoby ukończyły Podstawowe Studium Zawodowe, mające na celu doszkolenie pracowników Działu Administracyjno-Gospodarczego w kierunkach zawodowych, uzupełniając jednocześnie ich wykształcenie podstawowe. Zachęcone powodzeniem kierownictwo działu AG postanowiło rozwinąć doszkolenie swych pracowników przez organizację trzyletniego Studium Maturalnego. W wyniku przeprowadzonych rozmów z dyrekcją Liceum Ogólnokształcącego nr 1 dla pracujących, uzyskano zapewnienie o możliwości pozytywnej realizacji tego zamierzenia już od 19 lutego 1975 r.

Po wstępnym rozeznaniu 53 osoby spośród pracowników administracji zgłosiły chęć podjęcia nauki w w/w Studium.

Dział Administracyjno-Gospodarczy nie zamierza i w przyszłych latach rezygnować z kontynuacji Podstawowego Studium Zawodowego. Wszystkie te zamierzenia prowadzone w kierunku podnoszenia kwalifikacji pracowników są godne wielkiego uznania.

DOR

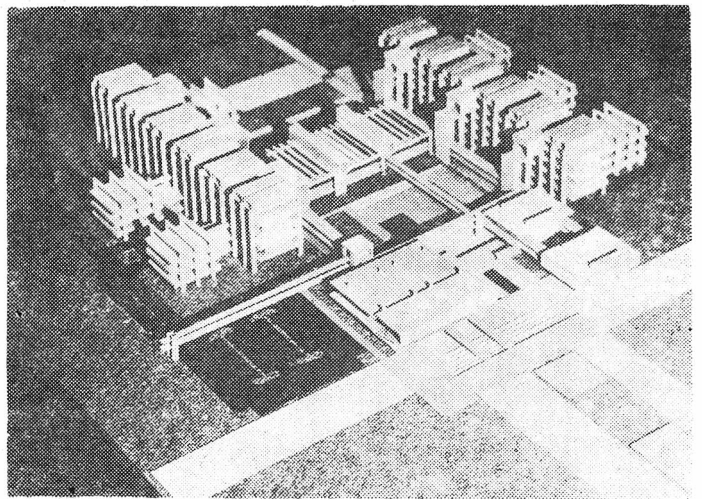
Fot. J. SAMOTUS





Wystawa — widok ogólny.

Fot. R. MAKOWSKI



Anna SZYMCAK-WISNIEWSKA — I Nagroda im. Nowickiego i Skrypija w międzyuczelnianym konkursie na najlepszą pracę dyplomową.

wystawa architektów

Przez blisko miesiąc (11 I — 9 II) można było w Muzeum Architektury oglądać ekspozycję prac kursowych i dyplomowych studentów Wydziału Architektury Politechniki Wrocławskiej. Ta ciesząca się ogromnym zainteresowaniem środowiska (oglądały ją także wycieczki spoza Wrocławia) wystawa została zorganizowana pod protektoratem JM. Rektora z okazji 25 lecia Wydziału Architektury. Na uroczystym otwarciu, którego dokonał Prorektor L. Krzyżanowski, obecni byli przedstawiciele władz miasta i organizacji społ. politycznych oraz liczna grupa pracowników i studentów Wydziału. Doc. dr St. Sołowij w skrócie scharakteryzował dotychczasową

działalność Wydziału oraz perspektywy jego rozwoju.

Szczególne zainteresowanie budziły prace studentów I roku dotyczące rozwiązań prostych elementów w płaszczyźnie i przestrzeni oraz projekty jedno- i wielorodzinnych budynków mieszkalnych. Godne uwagi były nowatorskie rozwiązania z dziedziny konserwacji zabytków, a także projekty nowych form przemysłowych, przyciągające oko swą barwnością. Zgromadzony został także plon ogłoszonego wśród studentów konkursu na plakat i znaczek okolicznościowy. Najlepszy okazał się projekt studenta V roku Waldemara Orzyszyńskiego.

Po obejrzeniu wystawy JM. Rektor

prof. dr Tadeusz Porębski wyraził się z pełnym uznaniem dla ogromnego wysiłku i pomysłowości autorów prac i organizatorów całości. Dodajmy, że komisarzem wystawy, a więc tym, kto włożył w nią najwięcej starań i serca był dr Zbigniew Bać.

Na marginesie chcielibyśmy poinformować zainteresowanych, że w kwietniu br. ukaże się ilustrowane Wydawnictwo Jubileuszowe, zawierające informacje o systemach i metodologii pracy dydaktycznej na Wydziale, o pracach studentów nagrodzonych na konkursach krajowych i zagranicznych, a także reprodukcje i opisy projektów eksponowanych na wystawie.

MAR



Do najlepszych na Wydziale Górniczym należą: Janusz FISZER i Stefan SĄKIEWICZ. Są nie tylko bardzo dobrymi studentami (wyróżnieni w Konkursie Kopernikowskim) ale i działaczami. Janusz jest już na V roku; jako specjalizację wybrał kopaliny różne. Stefan studiuje na roku III. „Idzie” indywidualnym programem. Jego zainteresowania zawodowe łączą się z niezawodnością systemów maszynowych. Wspólną ich pasją jest działalność w SNS-ie. Praca, wyjazdy na seminaria, spotkania sprawiły, że obaj są przyjaciółmi i razem włączają się do organi-



zowania różnych imprez. A ostatnio mieli roboty bardzo dużo, bo to i Liga

nas najlepsi

Instytutów i tradycyjna Barburka. Dodać należy, że są również członkami Rady Instytutowej SZSP w I-11. Poza tym Janusz pełni funkcję v-ce przew. SNS, a Stefan przewodniczy Komisji Nauki. Obaj chętnie rozciągnęliby dobie, gdyby to było możliwe. Mimo to znajdują jeszcze czas na prywatne zainteresowania: historię starych kultur. Janusz uwielbia również dobre filmy i pantomimę, a Stefan — siatkówkę. Teraz przygotowują się do wielkiej wyprawy naukowej do Afryki. Życzymy więc miłego wypoczynku, wspaniałych wrażeń i owocnych badań.



Kol. Janusz PSIUK jest studentem IV roku Elektroniki. W ostatnim semestrze osiągnął średnią zaliczeń 4,0, a z egzaminów 4,75. Od roku pełni funkcję przewodniczącego grupy. W chwilach wolnych od nauki, przede wszystkim w czasie wakacji pasjonuje się kolarstwem. Nie takim wyczynowym, lecz — jak twierdzi — bardzo lubi po prostu „kręcić” po Polsce. Sprawia wrażenie człowieka niezadowolonego z siebie — ale to tylko pozory. Kierunek studiów, który obrał uważa za bardzo ciekawy. Z własnej inicjatywy uzupełniał swoją wiedzę, uczęszczając na wykłady z fizyki na Uniwersytecie. Jego „zmarzwienie” — to ciekawa praca w przemyśle. Janusz twierdzi, że będzie miał spore kłopoty ze znalezieniem pracy, ponieważ przemysł potrzebuje elektroników, ale akurat nie tych ze specjalnością Technologia Elektronowa.

(joko)

R.W.



Fot. J. BORTKIEWICZ

Tatusz

zdałeś ?

Pan Ernest powiedział: „napisz coś poważnego” — więc macie. Studia wieczorowe kojarzą nam się z nocą (nie w sensie ciemnoty) oraz podstarzałymi tatusiami, którzy u schyłku życia próbują nadrobić zaległości w nauce. Problem ten jest pozabawiony żdźbłą prawdy, gdyż 70% studiujących na studiach wieczorowych to ludzie młodzi. Starsi jednak od studentów stacjonarnych o lata spędzone w pracy, życie rodzinne i ich dzieci.

Cały motor życia jaki oczekuje absolwentów studiów stacjonarnych jest studentom wieczorowym już znany. Trzeba dodać in plus naszym bohaterom, że naukę traktują znacznie poważniej niż ich „dzienni” koledzy. Zakres obowiązków jest o wiele większy, lecz po stronie zysków należy napisać brak problemów z sobą — dylemat jaki często gnębi studentów stacjonarnych. Nie ciągnie ich też piwo i kawiarnie w ramach godzin przeznaczonych na zajęcia. Marzenia naszych bohaterów są już inne, a zaliczyć do nich można: chęć jak najszybszego ukończenia studiów, awans w pracy, lepsze warunki materialne itp.

Oblicza studentów dwóch profilów uczelni są diametralnie różne jak dzień i noc. Przecież część studentów stacjonarnych chciałaby wbrew pozorom studiować jak najdłużej, obawiając się czekającej ich pracy, założenia rodziny, stagnacji życiowej. Pragną maksymalnie użyć życia. A biedny, wieczorowy student nie zazna wolności w rajdzie, nie spędzi całej nocy na bridżu lub cymbergaju, oj nie! Stosunek do wynalazku Fenicjan jest również kontrastowy, u naszych bohaterów pieniądze nabierają realnych wartości, bądź to w postaci przyszłych zakupów, bądź codziennej egzystencji. Co będziemy ować w bawelnę, rzućmy przykładami:

- 6.00 — pobudka, toaleta;
- 6.15 — jazda do pracy;

7.00 — początek pracy, która przebiegać może ciekawie lub monotonnie, wywołuje odciski lub hemoroidy, należy się gryźć z szefem lub podwładnymi, należy się wywyższać lub poniżać, myśleć lub nie, pracować lub nie itp;

14.00 — koniec pracy i jazda na uczelnię;

15.15 — początek zajęć, na których trzeba siedzieć, notować, myśleć, marzyć się, weselić, palić papierosy...

20.35 — koniec zajęć i jazda do domu;

21.00 — wizyta w domu, spotkanie z rodziną która z każdym dniem coraz bardziej zapomina męża i tatusia (mamusię), kolacja;

21.00-23.00 — zajęcia własne (nauka?);

23.00-23.30 — obowiązki rodzinne;

23.30 — Królestwo Morfeusza;

6.00 — ...

Tak, patrząc na pozycję 6.00 — ... widzimy, że jest to arcytrudny układ. („Na układy nie ma rady” — mądrość ludowa). Nie dziwcie się więc wykładowcy, że ci „nocni” chcą nieco inaczej patrzeć na zajęcia i że czasami patrzą zupełnie bezmyślnie. Często nie jeden z nich podporządkowując dany przedmiot profilowi swojej pracy zadaje w duchu pytanie o treści: „po diabła mi to?” Spotkałem się też z zagadką jaką próbuje rozwiązać starsza generacja studentów wieczorowych: „Co ich bardziej cieszy — własne piątki, piątki ich dzieci, czy też podwyżka?” Zupełnie inne są konwersacje prowadzone w przerwach między zajęciami. „Dzienny” bardzo źle czułby się w tym gronie.

Miano „technokrati” niestety nie jest im obce. Pogłębianie wiedzy z dziedzin humanistycznych jest głosem wołającym o pomstę do nieba. Konwersacje zamykają się na pracy nauce, samochodach i dzieciach. Jeśli tutaj jest coś

wesołego to chyba tylko wesołe dzieci. Nasi „nocni” bohaterowie bardziej odważnie szukają kontaktu z ciałem pedagogicznym, dyskutują na przerwach, zwierają się ze swoich zawodowych bolączek, szukają porady, a zarazem może liczą na względy w czasie egzaminów. Egzaminów są zawsze pod wielkim znakiem zapytania nawet dla najlepszych. Nigdy nie wiadomo co się może zdarzyć, a zdarzyć się może wiele; prestiżowe pijaństwo, nagła delegacja, ciąg narad, choroba w rodzinie itp. Tak więc nikt nie czuje się pewny.

Staralem się wymienić przyczyny jakie mogą stworzyć trudności w nauce. Jak uczy się student wieczorowy? Student wieczorowy z racji ograniczonego czasu uczy się z własnych notatek. Każda absencja, a powodów jest wiele, grozi poważnymi lukami w wiadomościach. Pracowici nadrabiają zaległości, z innymi jest różnie. Czy jednak zdajecie sobie sprawę co oznacza pytanie dziecka: „tatusz, zdałeś?” Na pewno własne dzieci dopingują do nauki, gwoili sprawiedliwości; małe, płaczące nie są wielkim handicapem.

Chciałbym skończyć ten artykuł jakimś optymistycznym akcentem, więc: „Panie Ernestie — skończyłem!”

MAKOKO

Fot. W. JĘDRZEJEWSKI



Wśród imprez jazzowych w Polsce *Jazz nad Odrą* zajmuje wyjątkowe miejsce. Przez wiele lat odkrywa talenty, jest dla wielu młodych muzyków progiem do kariery, potwierdzeniem dotychczasowej pracy. Sądzę, że tego rodzaju imprezy powinny:

1. ukazywać przynajmniej przekrojo-
wo aktualny stan danej dyscypliny w
wyraźnie określonym środowisku bądź
kompleksowo na pewnym obszarze,

2. ukazywać aktualne tendencje, moż-
liwości i kierunki rozwoju danej dy-
scypliny,

3. spełniać zadania szkoleniowe, szcze-
gólnie w dziedzinach, gdzie brak wy-
specjalizowanego i zinstytucjonalizowa-
nego szkolnictwa, brak ogólnieostęp-
nych materiałów niezbędnych do po-
znania uprawianej dziedziny,

4. spełnić cele wychowawcze,

5. spełniać funkcję popularyzatorską,

6. inspirować.

Wszystkie wymienione funkcje stawa-
ją przed organizatorami imprezy
konkretnie zadania w sferze organiza-
cji i zabezpieczenia technicznego. Funk-
cja pierwsza określa przede wszystkim
zadanie właściwego doboru uczestni-
ków, od tego zależy poziom konkursu.
Oczywiste jest, że w przypadku im-
prezy tak wyspecjalizowanej trudne bę-
dzie znalezienie odpowiednio dużej ilo-
ści młodych twórców o pożądanym po-
ziomie artystycznym. I tutaj powstaje
problem: czy rozmach postawić przed
jakością? Zdarza się, że (czego dowo-
dem jest nie tylko *Jazz nad Odrą*) do-
puszcza się do udziału w konkursie
twórców, którzy albo wcale albo bar-
dzo niewiele mają wspólnego z dyscy-
pliną będącą przedmiotem imprezy. Czy
jest to lepsze wyjście niż dopuszczenie
od udziału w konkursie wykonawców
o mniejszych umiejętnościach niż po-
żądane? W pierwszym przypadku mo-
żemy słusznie oczekiwać wyższego o-
gólnego poziomu imprezy, ale w dru-
gim możemy mieć bardziej prawdziwy
obraz aktualnego stanu dyscypliny. W
zakresie szkolenia wiadomo wtedy ko-
go i jak uczyć, łatwiej dostosować pro-
gram seminariów, szkoleń, dalej — wi-
adomo co impreza popularyzuje, kogo in-
spiruje i wychowuje. Jednolity charak-
ter powoduje także wzrost prestiżu im-
prezy, zarówno w jej oddziaływaniu
zewnętrznym (bardziej fachowe relacje
w publikatorach) jak i wewnętrznym
(wzrasta znaczenie nagród i wyróżnień).

Właściwie zorganizowana impreza
spełnia również inne cenne zadanie —
ukazuje kierunki rozwoju danej dys-
cypliny, możliwości popularyzowania i
adaptowania tych tendencji w jak naj-
szerszych kręgach zainteresowanych.
Dla poprawnego zrealizowania tego ce-
lu niezbędne jest uczestnictwo w im-
prezie twórców profesjonalnych. I tu-
taj jeszcze większa odpowiedzialność
spada na organizatorów. Bowiem nie
może to być dobór dowolny, oparty li
tylko na znakomości nazwiska. Ar-
tyści ci muszą spełniać istotny waru-
nek: ich twórczość powinna nosić zna-
miona przemian dokonujących się w
uprawianej przez nich dyscyplinie sztuki.

fes- ti- wal ale jaki?

Wiesław Misiek

Wszystko co do tej pory powiedziano
ma znaczenie i dla następnej funkcji
realizowanej przez właściwie zorgani-
zowaną imprezę konkursową, szczegól-
nie dla dyscypliny o której tradycji, nie
tak mocno zakorzenionych w społeczeń-
stwie, funkcjonujących bez istotnego
oparcia instytucjonalnego. Ma ona ko-
losalne znaczenie społeczne. Zadania
realizujące omawianą funkcję łączą się
ze szczególnym, techniczno-organiza-
cyjnym ich zabezpieczeniem. W obecnej
chwili *Jazz nad Odrą* ma do zreali-
zowania olbrzymie zadania i możliwości
w tej dziedzinie. Zarzuca się nieudol-
ność młodym muzykom, naśladow-
nictwo niedościgłych wzorów, wielolet-
nie raczkowanie. Czy to nie jest aby
przesada? Ciągłe przecięz nasi muzycy
kogoś naśladowali, podrabiali. Jeżeli
ktoś czynił to w miarę poprawnie, był
obsypywany zaszczytami. Tylko nielicz-
nym udało się znaleźć własną, oryginalną
drogę twórczą. A często jeżeli
ktoś młody realizował swoją myśl twór-
czą, środowisko rozrywały kontrower-
sje. Hochsztapler czy talent? I sprawę
zostawiono samej sobie. Ale ad rem.
Właściwie w naszym kraju nie ma
szkolnictwa jazzowego. Trudno w tej
chwili powiedzieć coś konkretnego o
powstałych niedawno w niektórych
Wyższych Szkołach Muzycznych, Wy-
działach Muzyki Rozrywkowej. Na py-
tanie czy i jak spełniają swoją rolę w
odniesieniu do jazzu, będziemy mogli
odpowiedzieć za kilka lat. Aktualny
stan naszego środowiska (chodzi o for-
malne, instytucjonalne i organizacyjne
zabezpieczenie) nie stwarza nadziei na
coroczne oczekiwanie od *Ino* objawień
artystycznych.

Braki istniejące w dziedzinie szkol-
nictwa powinny być choć w części wy-
pełniane przez imprezy typu *Ino*. Na-
leży przy tego rodzaju okazjach orga-
nizować typowe robocze spotkania u-
czestników z czołowymi teoretykami i



Fot. ARCHIWUM

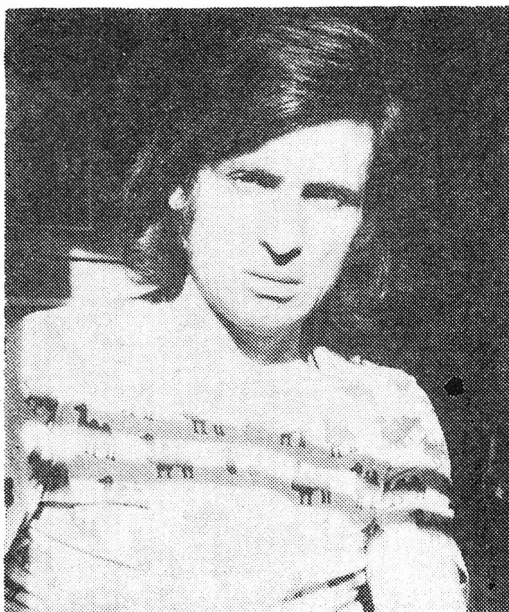
praktykami jazzu. Takie zajęcia powin-
ny ujmować przede wszystkim istotne
dla muzyki jazzowej odmienności w ka-
tegoriach czysto muzycznych, technicz-
nych. Można prowadzić te zajęcia w
różnoraki sposób. Wskazane byłoby przy-
tak znacznym udziale młodych podzie-
lić uczestników na „grupy wtajemni-
czenia”. Każde praktyczne, seminaryj-
ne zajęcia w poszczególnych klasach
instrumentalnych muszą być poprzedzo-
ne wykładem. I na tę formę należy po-
łożyć główny nacisk ze względu na
znikomość czasu jakim dysponujemy i
konieczność przekazania olbrzymiej ilo-
ści informacji, do których dostęp w for-
mie książkowej jest właściwie niemoż-
liwy.

Właściwie realizowana funkcja wy-
chowawcza w swych krańcowych ob-
szarach styka się z funkcją inspiracji
przez prawidłowo zorganizowaną im-
prezę. W niej także mają swój udział
zadania wymienione przy omawianiu
poprzednich funkcji. Ukazanie roboczej
teraźniejszości, przedstawianie aktual-
nych kierunków i możliwości rozwojo-
wych dyscypliny, wreszcie zaznajomie-
nie z konkretnymi sposobami rozwią-
zywania problemów artystycznych słu-
ży realizowaniu tej istotnej cechy kon-
kursu. Festiwal jest przeżyciem tym
większym jeżeli realizuje pokładane w
nim nadzieje. Młodzi muzycy (niejedno-
krotnie z odległych rejonów kraju) zja-
wiają się na *Ino* oczekując we Wrocławiu
potwierdzenia trafności swego wy-
boru — muzyki jazzowej jako terenu
swej artystycznej wypowiedzi. Arty-
styczne nieporozumienia ostatnich fe-
stiwalu raczej nie przysparzają nasze-
mu środowisku nowych zwolenników.

Realizowanie tych zadań ważne jest
dla rozwoju jazzu, jego utrwalania się
w naszej kulturze. Ważne jest dla roz-
wijania aktywności artystycznej ludzi
młodych, tym samym dla przyszłości tej
dyscypliny w naszym kraju.

B N E

rzydka
owa
stetyka



Benito Marczuk



Z buntowany realizm, nowa figuracja, odmiana ekspresji co nie dba o piękno, o to co w pojęciu potocznym nazywamy estetycznym, nonszalancją, niedbałość, ba, pewnego rodzaju niechlujność w wykonaniu; płótna zapackane, z gruzłami farb zaschniętych, kolorów ostrych, gryzących się wzajemnie, pokłóconych, prosto z tuby wyciśniętych, kolorów, farb, kolorów, bezpośredniość, natręctwo i zarazem jawna nieśmiałość, krzyk przeraźliwy i szept cichy, eksplozje, ruch i statyka, same przeciwności, rzeczywistość i fikcja zarazem, nieuczestny realizm, nowa figuracja — to wszystko nam przychodzi na myśl kiedy przypadek zapędzi nas do wystawowego salonu i ten sam przypadek zetknie nas z dziełami plastyków uprawiających nową figurację.

Jest to trend nowy w sztuce, a w naszym kraju legitymujący się zaledwie kilkuletnią tradycją, jest to więc ruch

młody i uprawiany przez młodych. Nie zamierzam tutaj podawać też zasadniczych tego kierunku sztuki aktualnej, nie jest to bowiem celem tej notatki, pragnę jedynie dać kilka sygnałów na temat tej konwencji sztuki, aby w ich tle, może nieco bliżej, może nieco wyraźniej ujrzyć sylwetkę wrocławskiego malarza — Benito Marczuka.

A więc uściślijmy — Nowa Figuracja, Nowy Realizm; wyrosło to na wielorakich podstawach, wielowarstwowo, wielopłaszczyznowo; wyrosło to bowiem na gruzach pop-artowskiej pseudoelegancji, dalej — w poprzek chłodnego i nadmiernie wydumanego op-artu, obok sztuki konceptualnej, landartu i całego szeregu artów i artusików. Nie będę o tym mówił, bo czytelnik na ten temat znajdzie wiele w wielce pouczającej książce pani Urszuli Czartoryskiej pt. „Od pop-artu do sztuki konceptualnej”. Dajmy więc tym artom spokój i przyjrzyjmy się jeszcze raz nowej figuracji, rzućmy okiem na inną płaszczyznę tego kierunku — spostrzeżemy natychmiast, iż sztuka ta jest jak gdyby protestem przeciw lakierowanej naszej współczesności, przeciwko chromom, nikłom, połyskowi i szlachetnym matom, przeciwko monotonom naszym osiedli, schodowych klatek czy mieszkań, które różnią się jedynie wycięciami w kluczu yeti czy łucznik, mniejsza z tym — jest to więc protest przeciwko tej stypizowanej formie współczesności; a też zwykle młodzi protestują, więc jest to protest młodych (starym już się nie bardzo chce). Protestują, krzyczą, może niekiedy belkocą, a raczej gaworzą, jak to zbyt młodzi... Pragną pokazywać wszystko na wprost, bez złudnej powłoki lakieru, lapidarnie, bezpośrednio, świeżo, i chyba łatwo, czasami zbyt łatwo. Zdają się wiedzieć, że współczesny odbiorca nie ma czasu na kontemplację, sztuka powinna więc być lapidarna, prosta, jaskrawa, opierać powinna dużymi plamami barw bez złamań, wibracji itp. Odbiorca i tak tego nie zauważy, odbiorca się spieszy, ale artysta się spieszy także, bo tak samo musi żyć, zarabiać musi pieniądze; więc powstają obrazy pospiesznie malowane dla odbiorców między jednym etapem a drugim, pomiędzy pracą, przedszkolem a stołówką, między knajpą, zakładem fryzjerskim a domem, taką mamy współczesność i nie ma na nią rady. Nowa figuracja ukazuje; nowa figuracja protestuje; ujawnia, ale nie radzi; nowa figuracja nie mówi, jak ma być inaczej...

Z tego, co już napisałem nie trudno się domyślić, że Benito Marczuk jest przedstawicielem tego kierunku. Jego malarstwo, jego rysunki z ostatnich lat posiadają te wszystkie cechy nowego realizmu, są więc pełne dynamiki, ekspresji, dużych i niedbale porozrzucanych płaszczyzn koloru, który czasami jest po prostu farbą, farby, która miejscami staje się kolorem, jest tam człowiek zwyrodniały nieco, zniszczony, trochę kaleki wśród oparów, jakiegoś hałasu, zgiełku, piekła, jest tam ten człowiek, którego nadniszczyła cywilizacja, człowiek ginący z samego siebie i przez samego siebie, człowiek zniszczony przez nią, ale jednak nie pokonany, człowiek — nie, nie pan, a człowiek utożsamiający się z tym całym brudem, którego stał się przyczyną. Niewątpliwie malarstwo Benito Marczuka jest pesymistyczne, niewątpliwie obrazy artysty nie dają łatwych przeżyć, zmuszają do refleksji. Marczuk sam się zastanawia, sam się boi, sam jest zagubiony, pełen lęków i niepokojów, artysta poprzez to co robi stara się siebie odnaleźć, stara się uspokoić, i jest w tym wszystkim jakaś autoironia, jest pewne przewrotne wyrachowanie i odrobina parodii — w świecie pozornych bażgrołów dzieją się rzeczy tragiczne (na serio) i sprawy komiczne (na niby). Benito Marczuk należy do tych artystów, którzy w swoich płótnach potrafią zawrzeć ładunek potężnej emocji, dużą część z własnego ja.

Artysta nim doprowadził swoją sztukę do tej brzydkiej formy, do brzydkiego realizmu, przeszedł długą drogę od pełnego wyrafinowania ekspresjonizmu, od umiędzynarodowienia, łagodnych przejść kolorystycznych, tonów i półtonów, ugrów i zielonych ziemi, do abstrakcji ekspresyjnej opartej już na zestawieniach walorów. W tej zdawałoby się nieporadności artysty jest ukryta swoista wirtuozeria, dobre opanowanie warsztatu i swoboda w operowaniu kolorem.

Zwierzzenia kurtyzany

Nic na to nie poradzę: aby móc nadal kultywować stan zdumienia

przekreśliłam siebie i zostałam kurtyzana
podobno nietypową:
czytam bowiem św. Augustyna, Rimbauda i Kanta
znam na pamięć kilka tysięcy wierszy miłosnych
a także zakochałam się zdecydowanie
w mężczyźnie który jest zerem

Jako kurtyzana palę banknoty wprost na oczach ofiarodawców

i układam bukiety z moich intymnych emanacji
oraz rozwodzę się nad śniegiem:
— Śnieg może być: błękitny różowy lawiniasty obłądny i gwiazdkowy
Zapytana o imię pokazuję zdjęcie mojej matki z lat jej młodości

po czym wyjaśniam:
— Miłość ma w sobie coś z aksjomatu
Tym którzy nie wiedzą jak się zachować
podaję przedmioty chłodne szepcząc: — Jest błękit
Ponieważ urodziłam się pod znakiem Koziorożca
wysoko cenię konkret
na przykład podkreślam słowo: ludyczność

Jako kurtyzana nie mając pojęcia o lękach egzystencjonalnych

daję liczne wspomnienia domom sierot
i unikam mężczyzn tłustych
nigdy nie upieram się przy moich specyficznie własnych racjach

oraz wystrzegam się smutnych piosenek o morzu
Kobiety którym czasem zwierzam się w zaufaniu
natychmiast odczuwają silną potrzebę wrażeń ekscentrycznych

na przykład czeszą się a'la Madame Butterfly
lub obmyślają taktykę niszczenia antyartystycznych postaw

Mój intymny świat nie ma w sobie nic z buduaru
po prostu częstuję mojego Deszczowego Kochanka
zarzutami natury formalnej
lub wygrywam mu na nerwach żółtą różę chińską
Deszczowy Kochanek który jest właściwie zerem przegryza wargi

— Dlaczego wciąż inaczej mnie zawodzisz?
Wtedy daję mu do ręki przeźroczyste lustro:
— Jesteś białą pielęgniarzką i bądź uczynny:
jako kurtyzana mam przecież tak niewiele czasu...

Ale zdarzają mi się również momenty zgubnej ciekawości:
Choćby w trakcie spaceru marzę:
— Gdybym tak mogła dotknąć asymptoty funkcji tangens
— Lub napadać komuś w serce milczącym śniegiem
— Albo zdumieć się już na zawsze i pozostać niema?
W takich chwilach uśmiecham się do przechodniów
i pytam: — Czy ostatni twój sen był kolorowy?

Wczoraj jeden z przechodniów wystąpił z tym pytaniem jako pierwszy

Wrocław, 13 XII 1974 r.

W falującym zupełnie morsko wręcz oceanicznie oku Boga
tętni serce — może jednocześnie ogień i wiatr
kotłysz mi się usta gorączkując:

— Daj mi róż indyjski
— Daj mi z okazji urodzin ślubną obrączkę
i daj mi jeszcze taki maleńki śnieżny ołtarzyk
żeby padał mi na powieki — naprawdę nie są wiarołomne
powleka je przecież sen jak werniks
zasadź mi na nich wschód i mleczne róże

W totalnie wiecznym boskim śnie
włosy leniwie przeginają masę deszczu — może lustra
oddycham nieomal z lękiem:

— Pocałuję twoją dobrą rękę to cię uzdrowi
— Zabiję cię — to będzie twoja niepodważalność
i może wyczerpiesz wreszcie swój chłód
to przez ten chłód nasze intymne światło płacze wyobraźnią
pozbiierajmy te lzy i wyrzujmy na nich nasze wspólne imię
zapalmy na nich baśń
tę wszechwiedzącą

W nieosiągalnym przecież i na pewno dnie Boga
pograżała się moja ręka — — —
złammy tę noc!

Wrocław, 28 grudnia 1974 r.

Fot. J. LAJSTOWICZ



Fraszki

Naiwny

Uwierzył, że księgi to puklerze
Od życia ciągi teraz bierze

Przestroga

Nie dumaj o złotym cielcu
Gdy masz problem na widelcu

I król się zbłądził
Dzierżąc berło w łaźni

Zegar

Zegar w człeka celuje wskazówką:
Jak tam zdrowko?!

Cierpienia młodego badacza

Ledwie wkroczył w nauki optytki
Już go bolą na mózgu nagniotki

O jednym

Gdy coś powie głupstwo palnie
Ale milczy jak genialnie!

Twarz

Na tej twarzy surowej tysiąc rys wy-
żłobił
Czas bezsennego czuwania przy żłobie

ROBERT GUTOWSKI

anatomia teatru studenckiego

Włodzimierz Garsztka



Předstawiając w poprzednich numerach historię teatru studenckiego w trzech płaszczyznach (świat, Polska, Wrocław), wskazałem główne linie rozwoju ruchu oraz szereg zależności wewnątrz — i między teatralnych wpływających z powiązań i odrębności poszczególnych przejawów studenckiej myśli teatralnej, rozumianych jako sposób ustosunkowania się do tradycji, sposób formułowania innowacji (przedstawiania za pomocą obrazu scenicznego danej myśli, problemu — założonego jako nowość formalna i ideowa w odniesieniu do wystąpień wcześniejszych) i wynik sąsiedowania (korespondowania) zjawisk. Wszystko więc, o czym była mowa istniało w rozważaniach jako obieg inwencji teatralnej, jako funkcjonowanie jednego ze względu na drugie.

Sam wgląd historyczny wypełnia jedynie połowę zakresu pojęcia — teatr studencki. Po oddzieleniu uwarunkowań zewnętrznych, kompleksu odniesień i porównań, zależności i wpływów, pojawia się możliwość refleksji niezdeterminowanej historycznie, odnoszącej się jedynie do wewnątrzteatralnych czynników sprawczych, tłumaczącej sytuację aktualną poprzez wnikanie w głąb, zastąpienie diachronii synchronią. Ta penetracja o kierunku jedynie synchronicznym ma się ku zespołowi pojęć, który ogólnie możemy określić jako anatomię teatru studenckiego, wewnętrzną odśloną celowym zabiegiem analizy i rozkładania na czynniki.

Cóż to takiego teatr studencki? To pojęcie, wokół którego ustawicznie się obracamy wskazuje jedynie na społeczne umiejscowienie ludzi inicjujących i wiodących realizację teatralną, na ich środowiskową przynależność. Wszystko to, co następuje później, a więc program (cel istnienia), repertuar, sposób pracy, aktorstwo, mogą, a nawet powinny obejść się bez określnika — studencki, bowiem nazwanie czegoś „studenckim” w teatrze poza przynależnością środowiskową sprawców zjawiska jest bezpodstawne i na nic nie wskazuje. Sama studenckość jest pewnym zespołem symptomów zachowań i postaw wykształconych i nawarstwionych w obrębie rzeczywistości akademickiej i przenoszonych często w postaci cząstkowej do innych regionów społecznych. Teatr studencki natomiast nie ma z tym nic wspólnego. Jest po prostu w odniesieniu do ogółu zjawisk sztuki scenicz-

nej amatorski, wyraźnie ograniczony pod względem możliwości środków i nakładów. Nieprofesjonalny nie z wyboru, a raczej z braku innej możliwości. Jest faktem wysoce pozytywnym, że teatr studencki we wszystkim, co ma być przedstawione, zaproponowane, poddane dyskusji, a w relacji z widzem obustronnie przeżyte (to najważniejszy moment w każdym teatrze świata, rzecz nie podlegająca żadnym wahaniom i dyskusjom) przerywa konwencjonalne granice studenckości i ignie ku uniwersalizmowi, nie narzuca sobie rejonu, o którym chce mówić, pragnie objąć całą rzeczywistość, pod tym względem dąży do suwerenności. Jest jednak faktem wysoce negatywnym, że programując, wymierzając cele jednocześnie nie potrafili ich zrealizować w praktyce. Takie rozdarcie między marzeniem a umiejętnością, która nie jest drogą ku spełnieniu. Nikogo nie krzywdzi tutaj określenie realizacji scenicznych w teatrze studenckim jako amatorskich, ubogich, stłumionych własną nieporadnością w stosunku do wymarzonego uniwersalizmu. Teatr studencki, który nie jest studenckim i nie jest takim, który by zmierzał ku czemuś, co sobie wytknął jako cel, jako drogę do celu, jako sposób, metodę, który nie jest żadnym innym teatrem, jak jedynie teatrem bez sensu, nieumotywowanym, niezrozumianym, teatrem molochem, którego na dobrą sprawę się nie chce.

Kiedy zaświta pewna myśl, kiedy znajdują się minimalne warunki zewnętrzne, kiedy jest określona grupa ludzi, która mówi o sobie, że interesuje się teatrem i kiedy zjawia się jakiś pomysł — powstaje teatr studencki. Taka grupa ludzi, która stosunkowo rzadko będzie się z sobą spotykać na kilka godzin i „robić teatr”. Jest i założyciel, który będzie wszystkim kierował i miał najwięcej do powiedzenia, jest program, który w większej lub mniejszej części wszyscy przyjęli i pragnęliby go w tym teatrze zrealizować. I tu wyłania się cel tego teatru, ku któremu wszyscy chcieliby dążyć. To już chyba wszystko, tyle rzeczy, które z pozoru łączą, tyle zewnętrznych schematów i „normalnego toku sprawy”. Jest w tym coś żenującego i bolesnego zarazem, że teatr studencki na równi z profesjonalnym jest jedynie areną, na której oferuje się zewnętrzną, licytację pomysłów, ambicji. Jest formą wyprzedzący tego, co pozorne, azyłem wielkiego oszustwa.

Czy wszyscy zapomnieli, czy też nikt

nie chce pamiętać, że chodzi przecież o określony sposób istnienia w rzeczywistości, teatr jako jeden ze sposobów życia. Grupa ludzi związanych z własnego wyboru, ale w sposób głęboki, wykraczający poza wszelkie deklaracje i umowy, nie mający z nimi nic wspólnego. Dlaczego panuje taka powszechna obawa przed określeniem teatru studenckiego właśnie w ten sposób. Taka była jego geneza, jego awangarda, ale szybko się to zagubiło, stało się nie do pojęcia dla grupy umawiającej się i chcącej.

Pierwszym zasadniczym etapem w życiu teatru jest konfrontacja idei z formą, w której zostanie zrealizowana scenicznie, spotkanie dążenia z możliwościami wykonania. Z innego punktu widzenia jest to konfrontacja teorii z praktyką. Moment, kiedy to szereg elementów teoretycznych przyjętych za punkt wyjścia poddanych zostaje próbie praktyki. W procesie pracy twórczej o określonym kierunku semantycznym staramy się zrealizować pewną myśl, pewien zespół znaczeń, pewne słowa, jakąś strukturę ideową w pewnej postaci formalnej. Na próbach proponujemy, realizujemy propozycje innych, przymierzamy do nich siebie i drugih, czasem wypełniamy gotowe już schematy, przebiegi, koncepcje. To już zależy, by tak rzec, od profilu teatru, od jego artystycznego i ideowego credo. Aż z tego wszystkiego powoli zacznie wyłaniać się obraz już trwały, stabilny, uporządkowany, o założonym przebiegu, obraz, który chcemy zachować, w naszym przekonaniu najbardziej bliski temu, co niejako sami przed sobą założyliśmy, postawiliśmy sobie — pewna fikcyjna rzeczywistość, a w niej my — aktorzy, też najczęściej odpowiadający na fikcję okoliczności fikcją siebie. Powstaje spektakl. Tutaj budujemy pryzmat, przez który będziemy rozmawiać z widzem. Pryzmat — to określenie w pełni odzwierciedla istotę tego czegoś, co z przeznaczenia, ze świadomego wyboru ma być dla nas i dla innych, pryzmat, w którym załamują się przepuszczone **przezeń** promienie, rozpraszają się, idą w innym kierunku, gdzieś w bok, poniżej, ale nigdy wprost. Nie idą tam, gdzie niejako zostały zaadresowane, omijają swoje przeznaczenie, omijają nas. I to, co najbardziej przykre — okłamują. Robimy spektakl o sobie, o innych dla siebie i dla innych, a potem nagle robimy unik, rozmijamy się z sobą i z innymi i również z tym czymś, co budowaliśmy podczas naszych spotkań na próbach.

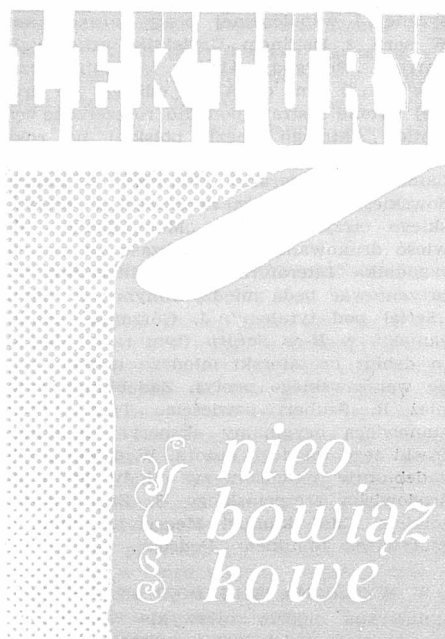
Teatr studencki istnieje na próbach w sensie bytu twórczego, istnieje w spektaklu w sensie egzystencjalnym, ale nie ma go wtedy, kiedy nie ma prób i dnia, w którym pokażemy spektakl. Nie ma go w czasie i przestrzeni, a jedynie jest w okazji, w pretekście, w okoliczności, w przypadku. W odniesieniu do ogółu rzeczywistości i życia jest właśnie przypadkowy, nie znaczący. Po próbie wracamy do innych zajęć i najczęściej to, co było kilka godzin temu, co się wydarzyło, niewiele lub nic nas nie obchodzi. Drobnym epizodem, nietrwałym, bez znaczenia dla innych epizodów, nigdy niemal nie dotyczy tego, co dla nas jakoś osobiście najważniejsze. Nie sposób powiedzieć o teatrze studenckim, że toczy się w nim życie, że artystyzm i idea teatru łączy, spajają, owocują przedsięwzięciem, robią rzeczywistym porozumienie. Teatr studencki opiera się na próbach i spektaklach, które są tak samo przypadkowe w stosunku do „wielkiej rzeczywistości co-

dzienniej" jak przypadkowe jest to, co w obrazie scenicznym w ten sposób powstałym ma dotyczyć czegoś określonego, czegoś istotnego, a w rzeczywistości popada w abstrakcję mechanicznie wyluskującą ostatnie owocujące ziarna, wyrzucając po swej drugiej stronie sноп jałowości, pomieszania barw i rozczepienia.

Jaka publiczność ogląda spektakle teatru studenckiego, jakie jest jej pochodzenie, po co przychodzi na te spektakle? Przede wszystkim publiczność studencka, ze środowiska akademickiego, w którym dany teatr funkcjonuje. Te najbardziej znane wychodzą poza swoje środowisko, swój okręg akademicki, nawet przekraczają określone zwykle dla teatru studenckiego granice wiekowe, są nie tylko młodzieżowe, ich recepcja przebiega także w pokoleniu starszym. Większość jednak ograniczona jest do publiczności studenckiej. To już taka specyfika tego ruchu, nie ma w tym niczego niepokojącego, nie jest to również żadną zdobyczą, żadną zaletą. Ta publiczność studencka nie różni się od twórców studenckich, tutaj również cała studenckość leży w pochodzeniu grupy młodych ludzi, w ich środowiskowej przynależności. Po co przychodzi na spektakle? To podstawowe pytanie nastrocza szereg trudności. Można odpowiadać na różne sposoby i nigdy nie będzie to oddawało prawdziwego, obiektywnego stanu rzeczy, ale równocześnie w każdym wypadku będzie trochę słuszności. Ich zestawienie mogłoby dać jakąś pełniejszą odpowiedź. A więc można chodzić na spektakle teatru studenckiego, bo tak się od dawna robi, bo tak jest to utrzymane w naszym gronie, bo w ogóle poszlibyśmy do teatru, a do profesjonalnego z całą pewnością nie warto, bo to teatr z naszego środowiska, bo znam tam kilka osób, bo można powybzyrzać, bo może będzie coś ciekawego, bo w ogóle lubię teatr, bo się interesuję teatrem i dużo o tym czytałem, bo chciałbym też pracować w teatrze, bo pracuję w innym teatrze i chcę obejrzeć, co inni robią. Ale jest w tym wszystkim jakaś droga środkowa, taka, jakiej by się chciało niezależnie od tego, czy jest się tym, który tworzy, czy tym, który ogląda, uczestniczy. Ten środkowy pośród innych cel, przyczyna, dla której ogląda się spektakle w teatrze i tu jego studenckość nie ma żadnego znaczenia — tkwi gdzieś głęboko, tkwi w każdym z osobna i we wszystkich razem, w jakimś dążeniu, marzeniu, inwencji, próbach kontaktu z innymi, w poznawaniu, ale nie chce się ujawnić, ani w teatrze, ani gdzie indziej, a jakimś przedziwnym zbiegiem okoliczności w teatrze kryje się przede wszystkim, szuka drogi pośredniej, aby obejść, wyminąć to, co najważniejsze, co jakoś osobiste i zarazem wspólne.

Teatr chory na wielkie oszustwo, na wybiegi, na jałowość. Teatr, którego się nie chce, który niepokoi przez to, że istnieje, że jest jeszcze jednym przystankiem dla tego, co nieautentyczne. Teatr cierpiący na prostotę pojmowania, na próby i spektakle, na nieważność w „wielkiej rzeczywistości codziennej.”

WŁODZIMIERZ GARSTKA



Galaktyka Gutenberga

Omówienie nowości książkowych na rok 1975

Dokonując przeglądu, ze względu na szczupłość miejsca pominąłem nazwiska tłumaczy poszczególnych dzieł, termin (kwartał) edycji, cenę i wielkość nakładu poszczególnych pozycji. I tak:

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY w roku bieżącym wznowi następujące pozycje: „Dom i Świat” R. Tagore w serii *B-ka Klasyki Polskiej i Obcej*; również w tej serii: „Ulisses” Joyce’a (t. I-II), „Żywoty pań swawolnych” Brantome’a „Niebezpieczne związki” P.A.C. Lascol’sa, „Niecierpliwość serca” S. Zweiga, „Czas życia i czas śmierci” E. M. Remarque’a, oraz „Wiersze” A. Błoka.

W serii *Współczesna Proza Światowa* wznowie: J. Baldwina „Inny kraj” i Kobo Abe „Kobieta z wydm”. Najciekawszą pozycją z serii *Klubu Interesującej Książki* będzie niewątpliwie „Most na rzece Kwai”

P. Boulle’a. PIW zapowiada na rok bieżący po dwie pozycje następujących autorów: L. Aragona „Dzwony Bazylei” i „Piękne dzielnice”, F. Kafki „Listy do Felicii” (t. I-II) i „Wyrok” (ta ostatnia także się w serii kieszonkowej PIW), oraz S.I. Witkiewicza „Narkotyki” i „Niemyte dusze”. Ponadto „Szkoła uczyć” (t. I-II) G. Flauberta, „Ziemia tragiczna” E. Caldwell’a, oraz „Biesy” F. Dostojewskiego. W serii *Biblioteki Poetów* ukażą się m.in. wiersze następujących autorów: F. Garcia Lorca, A. Bieły i M. Białoszewski. *Biblioteczka Aforystów* wzbogaci się nam o A. Czechowa, J. W. Goethe’go, G.B. Shaw’a, S.T. Coleridge’a; natomiast w serii *Biblioteka Krytyki Współczesnej* dwie zasługujące na uwagę pozycje: G. Bachelarda „Wybór krytyki literackiej” (jest to wybór twórcy tzw. nowej krytyki literackiej), oraz „wariacje na temat powieści” Mychały Sükösa. W roku bieżącym PIW wyda następne tomy drugiej edycji „Księgi z tysiąca i jednej nocy”. Z początkiem roku PIW wznowi „Wspomnienia z przyszłości” E. von Dänikena, książkę, która stała się białym krukiem po pierwszym jej wydaniu w Polsce w roku 1974 (poprzedni nakład 30 tys. egz...).

Niemniej interesująco zapowiada się kra-kowska oficyna wydawnicza. W WYDAWNICTWIE LITERACKIM kontynuowana będzie ciekawa seria *Prozy Iberoamerykańskiej*, w której na uwagę zasługują: „Opowiadania” J. Cortazara, „Zła godzina” G. Garcii Marqueza, „Spokojne sumienie” C. Fuentes’a i „Opowiadania” J. L. Borgesa. W serii *Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej* ukaże się najwybitniejsze dzieło K. Capka „Inwazja jaszczurów”. Po wydaniu w 1974 roku pierwszej pozycji z serii romansów grozy, jakim była niesamowita opowieść o pięknej damie — wampirze Carmilli J.S. le Fanu, doczekamy się wznowienia słynnego osiemnastowiecznego romansu „Mnich” M. G. Lewisa, który wywarł niemały wpływ na literaturę europejską, a zwłaszcza romantyczną; w cyklu tym ukażą się jeszcze: „Vathek, czyli opowieść wschodnia” W. Beckforda i „Italczyk albo konfesjonał czarnych pokutników” A. Radcliffe’a. Ponadto jako oddzielna pozycja „Złodziej dzieci” J. Superville’a, „Casanova” H. Kestena i „Sonety do Laury” Petrarki w wyborze i przekładzie J. Kurka.

Dokończenie na str. 28-29

Fot. M. SZEWCZYK



Miłośników najnowszej historii literatury mogą zainteresować „Główne kierunki poezji polskiej w latach trzydziestych” S. Jaworskiego i „Punkt wyjścia” J. Kajtocha i J. Skórnickiego będący zbiorem manifestów i programów grup poetyckich działających w naszym kraju na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (Orientacja Hybrydy, Próby, Centrum, 848, Ugrupowanie 66, Agora, Samsara, Teraz). Krakowska oficyna zamierza wydać „Fantastyczne opowieści” jako antologię mistrzów tego gatunku (A. Villiers de L'Isle-Adam, H. Balzac, K. Dickens, Th. Gautier, A. France, P. Merimee, E.A. Poe, O. Wilde). Ponadto dwie pozycje bibliofilskie ze staranną szatą graficzną w wersji dwujęzycznej: „Wybór wierszy” S. Plath i „Wiersze” T. Hughesa. Młodą rodzimą poezję w tej oficynie reprezentować będą: L. Szaruga „Dowód osobisty”, A. Ziemianin „Wypogadza się nad naszym domem” i A. Zagajewski „Sklepy mięsne”.

W wydawnictwie CZYTELNIK w roku bieżącym, jak zwykle dominować będzie od lat popularna seria *Nike* specjalizująca się w publikacji najciekawszych pozycji z kla-

sycznej i współczesnej prozy powszechnej. W serii z Delfinem *Czytelnik* wznowi: L. Carrola „Przygody Alicji w krainie czarów” i „O tym co Alicja odkryła po drugiej stronie lustra”, ponadto rozszerzone wydanie „Antologii poezji polskiej po roku 1939. „Kolumbowie współcześni” w oprac. A. Lama, oraz biografię „Petrarka” J. Parandowskiego. Miłośnicy twórczości I. Iredyńskiego otrzymają jego „Manipulację”, powieść drukowaną swojego czasu na łamach tygodnika *Literatura*. Młodą literaturę reprezentować będą między innymi: F. Bajon „Serial pod tytułem”, J. Górzński „Małpi zamek”, w *B-ce Satyry* (tym razem będzie to debiut prozatorski młodego interesującego warszawskiego poety). Zadebiutuje również R. Szubert powieścią „Trente Tre”, stanowiącą oryginalny eksperyment prozatorski tego młodego autora. W dziale poezji zadebiutuje najciekawszy młody poeta ze środowiska szczecińskiego S. Zajaczek tomikiem „Mój kumpel Meegeren”, oraz P. Matywiecki tomikiem „Podróż”.

W WYDAWNICTWIE POZNAŃSKIM kontynuowana będzie niezwykle interesująca edycja serii *Dzieł Pisarzy Skandynawskich*, w której na szczególną uwagę zasługują dwaj Szwedzi: A. Lundkvist „Koniec no-

cy” — będzie to wybór najlepszych utworów tego pisarza reprezentującego tzw. małe formy prozy (W obcym porcie, Cudzoziemiec, Istambuł, Sevilla, Drapacz chmur, Wilk i gołąb, Dorsze i wojny...) i L. Gyllensten „Śmierć Sokratesa” — jako nowe spojrzenie na postać antycznego bohatera. Miłośnicy marynistyki otrzymają pierwszą w Polsce publikację monograficzną J. Tu-czyńskiego „Marynistyka polska. Studia i szkice”.

Wrocławskie OSSOLINEUM proponuje T. Karpowicza: „Poezja niemożliwa. Modele leśmianowskiej wyobraźni”. Interesującą może być również „Antologia poezji wrocławskiej” pod redakcją Trzynałowskiego, Hernasa i Gały. Młodą literaturę reprezentować będą: w dziale prozy — J. Leżachowski „Góradół”, J.P. Krasnodebski „Ziółka dla idioty”, M. Machnicki „Przypalenie południa” i E. Dyczek „Długa noc”; w dziale poezji przewiduje się wydanie „Utworów zebranych” R. Wojaczka, ponadto „Ten najzwyklejszy seans spirytystyczny” J. Stycznia, J. Kulki „Droga przez cień”, M. Bocian „Narastanie”, K. Coriolana „Wielka zabawa” i St. Pasternaka „Elegie”. Godne uwagi będzie również tłumaczenie „Wierszy” R. M. Rilkego przez B. Antochowicza.



dla takiego jak ty



Friedmann Bayer
Helmut Zenker

(fragment mikropowieści)

1 Nie zmieniam zawodu, zmieniam posady. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy zmieniłem je osiem razy. Pracy w szpitalu, już załatwionej, w ogóle nie podjąłem. Nie czuję się najlepiej. Nie czuję się nigdy najlepiej. Chwilowo, od trzech tygodni pracuję w fabryce armatur. Moje stanowisko pracy jest wąskie. Nie jest gorsze od innych, ale też nie lepsze. Moi koledzy z lewej i prawej strony są jakiś metr ode mnie. Rozmawiać możemy tylko podczas przerwy. Palenie jest wzbronione. Kiedy o 11-tej przed południem termometr wskazuje trzydzieści albo więcej stopni, mamy kwadrans przerwy. Ale kiedy o 11-tej przed południem wskazuje już trzydzieści stopni? Dzień rozpoczyna się o szóstej, tempo o siódmej: na stanowisko pracy, gotowi, zaczynać!

2 Moje mieszkanie jest ciasne: jeden pokój w czteropiętrowym domu czynszowym, cztery razy cztery metry, podłoga z desek, dwa okna, jedna szyba przetykana metalowym drutem. Woda jest na korytarzu. Ubikacja też. Korzysta z niej również mój sąsiad z prawej strony, trzydziestoczteroletni pracownik kolei państwowych. Jego ruda żona dba o porządek. Już w kilka minut po mojej wprowadzce, zadzwoniła do mnie. Stała na progu i objaśniła mi zasady używalności wspólnej ubikacji: to znaczy te zasady, które wynikają z jej przyzwyczajzeń. Właściwie to się cieszy, powiedziała, że pokoju po śmierci starej Holoubowej nie zajęli Jugosławianie czy Turcy. („Oni wła-

żą na deskę klozetową w butach, swoje rzeczy trzymają nawet na korytarzu, i jak się już tylko Jugosłowianie wprowadzą do domu, to i szczurów zaraz pełno”). Czasami darowuje mi czasopisma ilustrowane. Pokój jest więc, po pewnych, nazwijmy to inwestycjach, za które zapłaciłem, mimo iż był zupełnie pusty, moim. Za siedemset szylingów miesięcznie. Umowa wynajmu jest aktualna na kwartał. Po Holoubowej nie pozostało nawet śladu. Wyobrażam ją sobie z trójkątną twarzą i siwymi włosami. To, co teraz mam w pokoju, zabrała z domu, gdzie odetchnęła z ulgą, kiedy wreszcie zwolniłem po sobie miejsce. Siostra moja mieszka dalej z rodzicami. Ten pokój jest mi obojętny. Jeśli akurat nie muszę w nim przebywać, to bywam gdzie indziej.

3 26 maja. Poniedziałek. Dzwonię z budki telefonicznej koło sklepu. Jestem chory, mówię. Przez kilka dni nie będę mógł przychodzić, mówię. Urzędniczka, która odebrała mój telefon, odkłada słuchawkę, kiedy już nie mówię. Ona mnie zna. Kiedyś za nią położyłem. Mieszka przy Friedensbrücke. Zaliczkę z piątku już prawie wydałem. W kieszeni mam jeszcze dwie setki i trochę drobnych. W winiarni nie ma nikogo. Właścicielka podaje mi zamówioną żytnią. Przystaje przy automacie, z którego po wrzuceniu jednego szylinga, wysypuje się około czterdziestu słonych orzeszków ziemnych. Poprzedni właściciel winiarni pędził większość wódek

Na terenie Wrocławia poza Wydawnictwem ukaże się pierwszy Almanach KKMP, autorów skupionych w KKMP, jak również przy wrocławskim oddziale ZLP w Kole Młodych Pisarzy. Wydawca: ZW ZSMW Wrocław.

W wydawnictwie ISKRY w r. b. charakterystyczne będą pozycje pod znakiem serii *B-ka Literatury Faktu XXX-lecia PRL*, gdzie wznowi się m.in. reportaże K. Kąkollewskiego „Historie, które napisało życie” i S. Kozickiego „Delegacja do czyścica”. Na większą uwagę zasługują również dwie wcześniejsze nowele M. Bułhakowa „Diaboliada. Fatalne jaja”, oraz wybór najznakomitszych bajek Ezopa, de la Fontaine’a, Krasickiego i Kryłowa („Z bajki prawda się odkryła”).

W roku bieżącym LUDOWA SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA wznowi jubileuszowe wydanie „Utworów poetyckich” J. Przybysia. Wydawana przez tę oficynę wspólnie z Klubem Poezji ZG ZSMW i red. Nowej Wsi popularna seria *Biblioteka Poetów* (dla prenumeratorów) przewiduje na rok 1975 nast. autorów: A. Mickiewicz, Z. Krasiński, B. Ostromecki, M. Buczkówna, W. Shakespeare, K. Ujejski, N. Niekrasow, E. Dickinson i R. Kolonicki.

W wydawnictwie KSIĄŻKA I WIEDZA dominiować będzie tania i popularna kieszon-

kowa seria *Kolibry*, w której największą poczytność zdobędą zapewne: „*Nocny kowboj*” J. L. Herlihy (książka znana u nas z głośnego filmu), „*Buźliwe życie Lejzorka Rojtszańca*” I. Erenburga i dwie pozycje W. Faulknera „*Dzikie plamy*” oraz zbiór opowiadań „*Wszyscy polegli lotnicy*”. Poza serią miłośnicy literatury faktu otrzymają książkę S. Jacquemarda „*Zaczęło się w Dallas*”.

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE wyda w r. b. tom I serii 2 „*Słownika współczesnych pisarzy polskich*” (seria druga obejmuje trzy tomy, w których zawarto ok. 500 nowych haseł), oraz „*Polską Bibliografię Literacką za rok 1972*”; ukażą się również „*Manifesty romantyzmu 1790-1830*” — autorami poszczególnych tekstów są: Blake, Coleridge, Shelley, Novalis, Stendhal, Hugo, de Vigny i inni. Ważną pozycją będzie niewątpliwie antalogia pism S. Freuda „*Poza zasadą przyjemności*” — autor koncentruje się tu na problematyce zastosowania psychoanalizy w teorii kultury, socjologii i estetyce. Ponadto wydany będzie „*Czas w prozie strumienia świadomości*” Z. Lewickiego. W r.b. należy spodziewać się również następnych części czterotomowej edycji „*En-*

cyklopedii Powszechnej PWN” (subskrypcja).

PZWŁ sygnalizuje m.in. „*Nerwice i psychoterapia*” J. Malewskiego, oraz „*Psychologia i psychopatologia życia codziennego*” M. Jarosza.

Na szczególną uwagę zasługuje „*Młody Śląsk literacki*. Antologia poezji i prozy (wybór i oprac. J. Górdzialek, F. Netz i E. Zymań), pozycja wydana przez wydawnictwo ŚLĄSK, które również poleca N. Honszy „*Kształt i struktura*”, książkę, która omawia zjawiska ideowo-artystyczne w niemieckiej strefie językowej (RFN, Austria, Szwajcaria) w latach od 1945 do czasów najnowszych.

Z WYDAWNICTWA ARTYSTYCZNEGO I FILMOWEGO otrzymamy „*Wybór Pism*” M. McLuhana obejmujący m.in. fragmenty z jego najwybitniejszego dzieła „*Galaktyka Gutenberga*”. Książka ta poświęcona jest przemianom ludzkiego umysłu wychowanego na kulturze druku.

Za udostępnienie niezbędnych informacji, dzięki którym mógł powstać ten przegląd, poszczególnym redakcjom serdecznie dziękuję.

KAZIMIERZ WOŹNICA

Friedmann BBAYER i Helmut ZENKER należą do grupy najbardziej lewicowych młodych pisarzy austriackich. Mają już za sobą wiele publikacji, w tym również i książki. Należą do grupy literackiej WESPENNEST, a Zenker jest wydawcą i redaktorem czasopisma literackiego młodych o tej samej nazwie, jak również członkiem Grazer Autorenversammlung — grupy pisarzy przeciwstawiających się działalności ideowej i literackiej austriackiego PEN-clubu.

BAYER (1944) mieszka w Wiedniu, pracował już jako kelner, drwal, tragarz, większość swoich utworów literackich (wiersze, fragmenty prozy) publikował w antologii grupy WESPENNEST, która ukazała się w roku 1973, mikropowieść *Fur so einen wie dich* [Dla takiego jak ty], napisana wspólnie z Zenkerem, jest jego debiutem książkowym.

ZENKER (1949), mieszka również stale w Wiedniu, pracował jako robotnik, nauczyciel, obecnie zajmuje się wyłącznie pracą literacką. Swoje teksty literackie (wiersze, prozę, słuchowiska, publicystykę) publikuje na łamach wielu czasopism austriackich i zachodniemieckich, jak również w licznych antologiach.

W roku 1971 wydał tomik wierszy *Merkheft* [Zeszyt na zapiski], rok później tomik *Action Sauberkeit* [Akcja czystości], w roku 1973 debiutował powieścią *Wer hier die Fremden sind* [Kto tu jest obcym] a w roku 1974 — oprócz mikropowieści — wydał drugą powieść *Kassbach oder das allgemeine Interesse an Meer-schweichen* [Kassbach albo ogólne zainteresowanie świniami morskimi]. Zenker jest również laureatem kilku nagród literackich, prowadzi ożywioną działalność publicystyczną i polityczną, i jako jeden z niewielu młodych pisarzy austriackich, jest członkiem Komunistycznej Partii Austrii.

Zarówno Bayer jak i Zenker w swoich utworach literackich ostro krytykują nabrzmiałe problemy polityczne, społeczne i moralne Austrii lat 70-siątych.

Najdobitniejszym — obok wierszy *Action Sauberkeit* i powieści *Kassbach*... tego przykładem jest właśnie mikropowieść *Dla takiego jak ty*.

Bohaterem tego utworu — narratorem zarazem — jest młody człowiek, który nie może sobie znaleźć miejsca w społeczeństwie konsumpcyjnym, gdzie nie obowiązują żadne ideały i nie są przestrzegane żadne reguły gry. Czuje się wyalienowany z tego społeczeństwa, buntuje się, może mniej politycznie, a bardziej psychicznie, bowiem nawet pracę, którą próbuje podejmować, staje się nie wyborem, ale koniecznością, jest przeciwieństwem zmuszany do wykonywania nie tego, co by chciał, ale tego co musi, aby żyć, egzystować. Próbuje więc znaleźć swoje miejsce, zadając się bardziej lub mniej przypadkowo z robotnikami, prostytutkami, homoseksualistami, studentami, lekarzami, pracownikami Caritasu, działaczami partyjnymi. I wszędzie spotyka się z brakiem zrozumienia i nawet zainteresowania. Więc bohater może powiedzieć: *Zyję tylko dlatego, bo jestem zbyt tchórzliwy aby się zabić*.

Mikropowieść ta została z wielkim zainteresowaniem przyjęta przez krytykę i bardziej lewicowo myślących czytelników, uznano w niej zapowiedź nowej tendencji w młodej literaturze austriackiej: prozy protestu społecznego i politycznego.

A sama mikropowieść nie jest dziełem przypadku czy zbiorowego wymysłu dwójga młodych autorów, lecz zbiorem luźno powiązanych fragmentów ich własnej biografii, ich własnego doświadczenia.

L.H.

sam. Podobno oślepił od tego. Właścicielka jest grubo po sześćdziesiątce i nie ma ochoty na rozmowę ze mną. Podsuwam jej 12 szylingów i wychodzę. Piątką jadę na Praterstern. Zasiadam w kinie PANORAMA. Wyświetlają angielski film o Draculi, w którym Christopher Lee zostaje pod koniec trafiony i zabity uderzeniem pioruna. Trzymał drąg żelazny jak piorunochron.

Potem obok autodromu zjadam kielbasę na gorąco i popijam piwem z tekturowego kubka. Przy autodromie kilku kretynów zaczyna dwie nieletnie jeszcze dziewczyny, które mogą sobi teraz pojeździć za darmo. Gdzieś koło pierwszej skręcam z Heinestrasse w Weintraubengasse, gdzie już od południa kręca się prostytutki. Przez parę sekund wdycham zapach gulaszu, wydobywający się z knajpy na rogu. Przy Novaragasse stoją dwie grube prostytutki. Każda trzyma uczesane pudła na smyczy. Po drugiej stronie ulicy stoi młodsza i coś grzebie w swojej torebce. Kiedy przystaję obok niej, przygląda mi się. Koło nosa ma ciemną kreskę. Zwracam jej na to uwagę. Wyciera ją chusteczką.

Stówka, mówię, wkładając chusteczkę z powrotem do torebki, i wiem, że jest to prawie za darmo, przeciętna bowiem cena wzrosła już od paru dobrych lat do dwustu. Dobra, mówię. Idzie przodem; do hotelu, który jest odległy o kilka zaledwie kroków. Ktoś z piskiem hamuje swój motorower, podrywa się parę gólebi.

Jesteś podпиты? — mówi w pokoju, kiedy przystaję przy drzwiach.

Nie.

Jasne żeś podпиты, mówi i ręką uderza w stół.

Tylko źle spałem, mówię, nie ruszając się z miejsca. Mam też gorączkę. Gorączkę kutasa, mówi i podchodzi do mnie. No co jest? Chcesz sobie popieprzyć czy potrzebujesz pomocy lekarskiej?

Siadam w fotelu, który stoi obok stołu i zakładam ręce na ramionach. Na wymytego mi akurat nie wyglądasz, mówię. No przynajmniej nie cuchniesz, wiesz, jak ci gospodarbeiterzy, oni czasami cuchną, nie, nawet często, w piątki w każdym razie. Ale wtedy mają akurat pieniądze. Jedno ci powiem od razu: paplanie, gryzienie, łapanie za włosy odpada; tego u mnie nie ma. Masz kłopoty z sercem? Tylko proszę cię, nie wykorbuj mi czasami. Na pewno masz kropkę przy sobie? Dawaj je. Tak, te możesz wziąć. Tylko proszę cię, nie wykorbuj mi czasami, przynajmniej tak długo nie, dopóki jestem w tym pokoju. Nie! Za sto szylingów nie rozbieram się cała. Mowy nie ma.

Ściąga majtki. Robi to dwoma wyćwiczonymi ruchami; tak normalnie, jak inni myją sobie zęby czy czeszą włosy.

Proszę cię. Jaki ty jesteś właściwie? Wyglądasz jeszcze młodo, mój chłopcze. No, popatrz, co mam tu dla ciebie. Pasuje ci moja mała?

Muszę spłynąć na chwilę, mówię. W toalecie onanizuję się, żeby potem trwało dłużej. Kiedy wracam do pokoju, wyglądam pilnikiem paznokcie. Siedzi po turecku na brudnym żelaznym łóżku: góra w dwóch swetrach, reszta goła. Odwrotność reklamy bez góry.

No co jest? mówi. I tak masz szczęście, że jesteś dzisiaj moim pierwszym klientem. Inaczej nie miałabym tyle cierpliwości.

Siadam na brzegu łóżka, rozsznurowuję buty, potem składam i wieszam spodnie na oparciu fotela. Kiedy chcę się najpierw umyć, spostrzegam, że w pokoju znajduje się tylko jeden dzban z gorącą wodą, jedna miednica i jedno wiadro.

Powiedz no skarbie, jesteś w ogóle do tego zdolny? Czuję się chory, mówię. I mam gorączkę, powtarzam. Wszystko czyni mnie chorym: wstawanie, praca, ludzie, których każdego dnia spotykam, rzeczywistość.

Co?

Rzeczywistość.

Ach tak, mówi, więc jesteś psychiczny. Tacy, co tak mówią, są psychiczni. Nie masz pewnie celu, mówi z przekonaniem. Nie wiesz więc po co żyjesz. Może potrzebna ci jest tylko interesująca praca. Spójrz na mnie! Myślisz może, że ja nie jestem chora?

Ściąga dwa swetry od razu przez głowę, zatrzymuje je jednak na wysoko podniesionych ramionach. Zwraca się do mnie plecami.

Widzisz tę bliznę? Z prawej strony na plecach.

Jej głos brzmi cicho i przytłumiony spod swetrowego namiotu.

To mam po operacji nerek, tłumaczy. O mało bym się nie przejechała na tamten świat. A chciałam żyć. Podobno nawet pod narkozą krzyczałam, że chcę żyć. Mam dwoje dzieci. Kapujesz?

Tak, mówię. Teraz już mogłabyś zdjąć całkiem te swetry. I tak na jedno wychodzi.

No dobra. Jesteś na pewno trochę stuknięty, ale nie taki zły, jak inni faceci. Ale proszę cię. Za cycki możesz łapać, ale cipę zostaw w spokoju.

Zamyka, nie wiem dla czego, oczy. Po chwili przestaje się poruszać. Patrzy na mnie pytającym wzrokiem. Kiwa głową w jedną i drugą stronę. Ty faktycznie jesteś psychiczny, porządnie psychiczny jesteś. To mogę ci powiedzieć.

Jestem śmiercią, mówię, bo akurat to przyszło mi na myśl. Schizofrenik, mówi. Zaraz zaczniesz mówić o sobie w trzeciej osobie.

Boisz się? Chcę wiedzieć.

Wierzysz, że wyglądasz na takiego, kogo należy się bać? Zdejm no okulary. Masz głębokie spojrzenie. Takie mają tacy jak ty, których wszystko boli, którzy wobec niczego i z niczego są chorzy. Wyglądasz teraz jak kurczątko. Rób mi teraz to dalej, jest mi nawet dosyć przyjemnie.

Po wszystkim nie chcę jednak żadnego milczenia i pytam, czy nie chciałaby się czegoś napić. Wciążam spodnie oraz koszulę i przynoszę litr wina od portiera, który zaufanym klientom sprzedaje potajemnie papierosy i alkohole.

W pokoju muszę wciskać korek długopisem do butelki. Zapomniałem ją sobie otworzyć. Piję szybko i wypijam więcej. Teraz już nie mówię. Zaczynam płakać.

Jesteś może medium, mówi. Coś takiego jak ty w ogóle nie istnieje. Proszę cię. Nie odstawiaj filmu.

Każdy kręci jakiś film, mówię głośno i czuję już jaki jestem pijany. Większość kręci nawet prawdziwie kiczowate filmy. Może mój film jest makaroni-westernem, albo parodią makaroni-westernu.

No dobra skarbie, przerywa mi. Teraz idę. Muszę zaraz pójść. Dochodzi już czwarta. O tej porze jest już więcej facetów na ulicach. Możesz przyjść znowu, kiedy będziesz miał pieniądze. Mamuska znowu ci zrobi pielęgnację ogonka, kiedy będziesz miał pieniądze.

Na dworcu piję jeszcze jedno piwo na stojąco. W ubikacji dworcowej przyglądam się długo swojej twarzy. Ściągam powieki w dół. Spójówki nie są złote. Mam jeszcze teraz dokładnie trzy szylingi w kieszeni. Idę jeszcze raz do kina. Ale tylko do poczekalni i do toalety. Na talerzu przed babcią kłozetową leży spora kupka drobnych. Inwestuję dwa szylingi i każę sobie dać klucz do ubikacji i papier toaletowy. W ubikacji czekam aż słyszę szuranie krzesła babci kłozetowej. Potem szybko wychodzę. Babcia poszła pewnie do damskiej toalety. Wszystkie drobne z talerzyka wpyuję do kieszeni płaszcza i wolno wychodzę z kina. Na dworze dosyć długo trzęsą mi się ręce. Z wystawy sklepu z płytami patrzy na mnie złym wzrokiem i z podniesioną batutą Karajan. Na następnej wystawie leży Beethoven. Ten patrzy na mnie jeszcze groźniej. Jestem rzeczywiście dosyć pijany. Mimo tego piję jeszcze jedno piwo. Puls, mówię sam do siebie i w tym momencie czuję go faktycznie. 125 uderzeń na minutę. I nagle robi mi się tak niedobrze, że schodzę na ulicę. Opierając się o znak zakazu, parę razy głęboko wciągam powietrze, mimo iż wiem, że mi to nic nie pomoże.

Potem już nic nie dostrzegam, za to słyszę wszystko lepiej. Ile wyjście wypili?

To głos policjanta, który mnie podtrzymuje.

Trzy piwa, kłamię.

W takim razie zabieram was na pogotowie, mówi, i dopiero teraz mu się przyglądam. Jeśli jednak więcej wypileś albo zażyłeś narkotyki, radzę ci pójść do domu. Zaoszczędzisz sobie kicia, a mnie mnóstwo roboty.

On również używa oczywiście tego „ty”.

Proszę rozebrać się do połowy!

Młoda lekarka nie pyta mnie nawet o ilość wypitego alkoholu. Mam nadzieję, że te 125 uderzeń pulsu wystarczy mi na pobyt w szpitalu. Chciałbym się wyspać.

Pana serce jest przemęczone! Pije pan? Dużo pan pali? Jest pan nerwowo? Ma pan kłopoty? Kim pan jest z zawodu? Mówię, że ani nie piję, ani nie palę, ani nie jestem nerwowo, że nie mam żadnych zmartwień i jestem zadowolony ze swojego zawodu. (Czuję jednak, że do firmy Scheppa i spółki już nie wrócę).

To była pewnie zapas, mówi. Ciśnienie krwi jest rzeczywiście za niskie. Musi się pan poddać dokładnemu badaniu (myślę o kontroli celnej), nie wygląda mi pan na zdrowego. Teraz proszę wziąć te krople i położyć się na chwilę. Nikt mnie do tej pory nie spytał o personalia. Może tylko o tym zapomniałem. Nie mogę myśleć zbyt jasno. W ambulatorium, gdzie się udziela pierwszej pomocy, stoją dwa łóżka. Na drugim leży Jugosłowianin albo Grek i stęka trzymając się za brzuch.

Zapalenia ślepej kiszki nie ma, mówi jeden z pielęgniarzy. Kto wie, od czego go ten brzuch boli. Przy tym ich żarciu. Obok mnie stoi walizeczka, która wygląda jak magnetofon. Za mną jest otwarte okno. Odczekuję kilka minut, potem mówię do Jugosłowianina albo Greka w języku, którego tu wszyscy używają, kiedy rozmawiają z obcokrajowcami: Ty, kumpel! Teraz obrócić się do ściany. Ty nic nie słyszysz i widzieć. Ty nie wiesz gdzie ja jestem. Zrozumiano? Kapito? Ej? Oczywiście używam tego „ty”. Potem biorę walizeczkę pod pachę, wyłaź przez okno i uciekam. W tej dzielnicy o tej porze nie ma żywej duszy.

Idę do znajomych, którzy mieszkają w pobliżu w komunie. Walizeczkę stawiam obok lustra w przedpokoju. Regały na książki są przepełnione lewicową literaturą. Książki są uporządkowane, podzielone i nazwane: „Marksizm”, „Psychoanaliza”, „Psychoanaliza i wychowanie”, Wychowanie bez autorytetów”. Pod „Literatura beletrystyczna” znajduję „Dusze na lodzie” Eldridge Cleavera.

Wszyscy siedzą w kuchni i prowadzą „grupowe rozmowy”. Chciałbym mówić, mówić, mówić. O sobie naturalnie. Problemy, o których się tu w kuchni mówi, nie są moimi. Nie kapuję ich nawet. Czuję się niepożądany, zdegradowany, izolowany. Chciałbym uwolnić się od swoich myśli.

Starość, mówi student biologii i czochra swojej przyjaciółce we włosach, nie jest procesem fizycznym lecz psychicznym. Ponad szklami swoich okularów spoglądam na ściany, pobazgrane przysłowiami. Szukasz szczęścia, wstąp na chwilę, chciałbym chętnie dopisać. Potem zdania się odwracają i ruszają w moim kierunku: powoli stajesz się asocjalny. Powinno się ciebie. Powinno się z tobą. Twoja choroba wynika z konfliktu duszy. Redukujesz się do stanu infantylnego. Nie mam nic do powiedzenia. Robię się mały i poruszam bardzo szybko palcami w butach, bo tego nikt nie może dostrzec. Mnie nikt nie przepychał przez gimnazjum. Mając czternaście lat, jeszcze nie przechodziłem mutacji głosu, musiałem już pracować. Pracy, którą mi wyszukano, sam jej nie mogłem wybrać, tej pracy nienawidziłem bardziej niż szkoły. Nie masz żadnego celu, mówi przyjaciółka studenta biologii. Potrzeba ci zajęcia, które ci sprawi przyjemność. Pierwsze z tych dwóch zdań znam już. Nie mam pojęcia o tym, co mówi. Nie rozumiem, że tej szansy, którą miała ona, ja nie miałem nigdy. Zajęcie, które mi sprawi przyjemność, myślę i zaczynam się śmiać. Na stole stoi znowu piwo dla mnie.

Pieprzyć, mówię i wstaję. Pieprzyć i chlać, to robię najchętniej.

Widzisz, mówi on trzymając palec wskazujący na brodzie. Nie umiesz kochać!

Żyję tylko dlatego, bo jestem zbyt tchórzliwy aby się zabić.

Idę na balkon wychodzący na podwórze i otoczony kratą żelazną. Przełazę na zewnątrz i zwisam przez kilka sekund. Student, który przyszedł za mną, biegnie z powrotem do kuchni. Nade mną ktoś krzyczy: idiota! Podciągam się znowu w górę.

Samobójstwo jest tylko zastępstwem orgazmu albo ucieczką od życia, wymądrza się dalej w kuchni student biologii. Dostaje ode mnie w mordę. Agresja jest formą zbliżenia, mówię. W przedpokoju biorę walizeczkę i opuszczam mieszkanie. Na klatce schodowej dopiero dostrzegam, że to ciężkie urządzenie nie jest magnetofonem lecz przenośnym EKG.

Wracam z powrotem na dworzec, który staje się dzisiaj dla mnie czymś w rodzaju dolka startowego. Nie boję się już, że mnie przylapią. Nie mierzę też już swojego pulsu. Przy ładzie z zakąskami odczuwam nagle głód. Żal mi tych kilku groszy w kieszeni.

Tego kuraka nie ukradnie nikt, słyszę kogoś mówiącego, kto kupił połowę kurczaka pieczonego i położył na stole. Tego kuraka nie ukradnie nikt, powtarza. Wygląda (sądząc po jego ruchach) również na mocno wstawionego. Do ciebie należy? — pytam.

Tak, odpowiada. Tego kuraka nie ukradnie nikt. Obstaje przy swoim stwierdzeniu, nie czyniąc jednak nic, aby się za niego zabrać.

Wezmę go sobie, mówię. Co teraz powiesz?

Tego kuraka nie ukradnie nikt.

Nie dociera do niego, że mu go zabrałem. Rzyga na swoje własne dłonie. Sprzedawczyni zaczyna wrzeszczeć, dochodzi do stołu i uderza go. Tego kuraka nie ukradnie nikt, mówi.

Przełożył: LOTHAR HERBST

PRZEBŁYSKI

Henryk Jagodziński

Wiek XX poczynił wielkie postępy wobec wieków minionych. Zwłaszcza w błędach.

*

Głupstwa rządzących nie są pospolite.

*

Burza — stan atmosfery w szczerzej wymianie poglądów dwu układów.

*

Grabarz umarłemu nie przepuści!

*

Budując drugą Polskę pamiętajmy, że administrację mamy już rozbudowaną na obie.

*

Miedzy śmiałością zamierzeń a niedolnością realizacji kryje się twoje M-X.

*

Dzięki technice mamy kosmiczne błędy.

*

Dobry grzyb, gdy w lesie, sąsiad, kiedy w pracy, a żona — na wczasach.

*

Zielone liście szumią śmiało, dlatego połówki — szeleszczą.

*

W człowieku, jak w czajniku — z biegiem lat coraz więcej osadu.

*

Niektórzy śpiewacy winni korzystać z głosu tylko w dniu wyborów.

*

Z panem X można kraść nawet konie mechaniczne.

*

Mali muszą wpadać na takie pomysły, do jakich nie dorosli duzi.

*

Śmiejmy się mimo wszystko, ale nie ze wszystkiego.

*

Są fachowcy od pracy i od brania pensji.

*

Wódka jest wysoko oktanowa: po jej wypiciu człowiek chodzi, jak głupi.

Wydaje Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. S. Janiszewskiego 14, pok. 14/15, tel. 202-240 w. 22-40 (pocztą wewnętrzną: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: GRZEGORZ DĄBROWSKI, ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, MAŁGORZATA KRAMKOWSKA, JAN KUROWICKI (z-ca redaktora naczelnego), MARIA MARCOLLA-WOLCZEK (sekretarz redakcji), MARIA PLUTA, MAREK SZEWCZYK, STANISŁAWA SZULC, TOMASZ WIELICKI, RYSZARD WOJTASZEK (z-ca redaktora naczelnego).

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA, przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO



u-TWORKI

stko czyni mnie chorym: wstawanie, praca, ludzie, których każdego dnia spotykam, rzeczywistość.

Co?

Rzeczywistość.

Ach tak, mówi, więc jesteś psychiczny. Tacy, co tak mówią, są psychiczni. Nie masz pewnie celu, mówi z przekonaniem. Nie wiesz więc po co żyjesz. Może potrzebna ci jest tylko interesująca praca. Spójrz na mnie! Myślisz może, że ja nie jestem chora?

Ściąga dwa swetry od razu przez głowę, zatrzymuje je jednak na wysoko podniesionych ramionach. Zwraca się do mnie plecami.

Widzisz tę bliznę? Z prawej strony na plecach.

Jej głos brzmi cicho i przytłumiony spod swetrowego namiotu.

To mam po operacji nerek, tłumaczy. O mało bym się nie przejechała na tamten świat. A chciałam żyć. Podobno nawet pod narkozą krzyczałam, że chcę żyć. Mam dwoje dzieci. Kapujesz?

Tak, mówię. Teraz już mogłabyś zdjąć całkiem te swetry. I tak na jedno wychodzi.

No dobra. Jesteś na pewno trochę stuknięty, ale nie taki zły, jak inni facci. Ale proszę cię. Za cycki możesz łapać, ale cipę zostaw w spokoju.

Zamyka, nie wiem dla czego, oczy. Po chwili przestają się poruszać. Patrzy na mnie pytającym wzrokiem. Kiwam głową w jedną i drugą stronę. Ty faktycznie jesteś psychiczny, porządnie psychiczny jesteś. To mogę ci powiedzieć.

Jestem śmiercią, mówię, bo akurat to przyszło mi na myśl. Schizofrenik, mówi. Zaraz zaczniesz mówić o sobie w trzeciej osobie.

Boisz się? Chcę wiedzieć.

Wierzysz, że wyglądasz na takiego, kogo należy się bać? Zdejm no okulary. Masz głębokie spojrzenie. Takie mają tacy jak ty, których wszystko boli, którzy wobec niczego i z niczego są chorzy. Wyglądasz teraz jak kurczatko. Rób mi teraz to dalej, jest mi nawet dosyć przyjemnie.

Po wszystkim nie chcę jednak żadnego milczenia i pytam, czy nie chciałaby się czegoś napić. Wciagam spodnie oraz koszulę i przynoszę litr wina od portiera, który zaufanym klientom sprzedaje potajemnie papierosy i alkohole. W pokoju muszę wciskać korek długopisem do butelki. Zapomniałem ją sobie otworzyć. Piję szybko i wypijam więcej. Teraz już nic nie mówię. Zaczynam płakać.

Jesteś może medium, mówi. Coś takiego jak ty w ogóle nie istnieje. Proszę cię. Nie odstawiaj filmu.

Każdy kręci jakiś film, mówię głośno i czuję już jaki jestem pijany. Większość kręci nawet prawdziwie kiczowate filmy. Może mój film jest makaroni-westernem, albo parodią makaroni-westernu.

No dobra skarbie, przerywa mi. Teraz idę. Muszę zaraz pójść. Dochodzi już czwarta. O tej porze jest już więcej facetów na ulicach. Możesz przyjść znowu, kiedy będziesz miał pieniądze. Mamuska znowu ci robi pielęgnację ogonka, kiedy będziesz miał pieniądze.

Na dworcu piję jeszcze jedno piwo na stojąco. W ubikacji dworcowej przyglądam się długo swojej twarzy. Ściągam powieki w dół. Spojówki nie są żółte. Mam jeszcze teraz dokładnie trzy szylingi w kieszeni. Idę jeszcze raz do kina. Ale tylko do poczekalni i do toalety. Na talerzu przed babcią klozetową leży spora kupka drobnych. Inwestuję dwa szylingi i każę sobie dać klucz do ubikacji i papier toaletowy. W ubikacji czekam aż slysze szuranie krzesła babci klozetowej. Potem szybko wychodzę. Babcią poszła pewnie

Student Wydziału Górniczego znalazł metodę na szybkie otrzymanie węgla kamiennego. Metoda ta polega na bliższym poznaniu kompetentnych osób ze składu opału.

Duże zainteresowanie wywołały prace malarza H, który niebo robi na czernono, ziemię na niebiesko, drzewa na czarno, a ludzi na szaro.

MAKOKO

Rysunki: T. MROZ

Pana serce jest p. pan nerwowo? Ma. Mówię, że ani nie wy, że nie mam: ze swojego zawodu. spółki już nie wróce). To była pewnie zapawście za niskie. M (myślę o kontroli). Teraz proszę wziąć mnie do tej pory zapomniałem. Nie rium, gdzie się ud. Na drugim leży J się za brzuch. Zapalenia ślepej k. Kto wie, od czego Obok mnie stoi w. Za mną jest otwa: mówię do Jugosłow. wszyscy używają, kumpel! Teraz o: widzieć. Ty nie w: pito? Ej? Oczywiście, lizeczkę pod pach: dzielnicy o tej por: Idę do znajomych. Walizeczkę stawia: książki są przepe: porządkowane, pod: analiza", „Psychoa: autorytetów". Pod: sze na lodzie" Eldr: Wszyscy siedzą w: Chciałbym mówić, lemy, o których si: kapuję ich nawet: izolowany. Chciałb: Starość, mówi stud: we włosach, nie je: Ponad szklami sw: bazgrane przysłowi: chciałbym chętnie: ruszają w moim ki: winno się ciebie. Pow: z konfliktu duszy. Nie mam nic do: bardzo szybko palc: strzec. Mnie nikt: czternaście lat, jes: siałem już pracow: nie mogłem wybra: szkoły. Nie masz z: biologii. Potrzeba: Pierwsze z tych d: o tym, co mówi. ona, ja nie miałem: jemność, myślę i z: piwo dla mnie. Pieprzyć, mówię i: chętniej.

Widzisz, mówi on. Nie umiesz kochać! Żyję tylko dlatego bić.

myśli ostrzyżone

Najlepiej być grzesznikiem. W najgorszym razie pozostanie się nim nadal. W najlepszym istnieje awans na świętego.

Intelektualiści — strzeżcie się, aby wam ktoś nie powiedział, że przesiedzieliście ciele życie!

Najłatwiej być odpowiedzialnym kosztem innych.

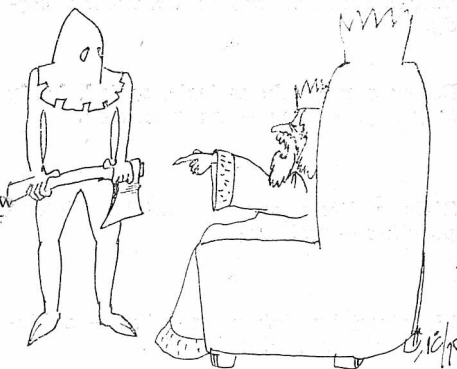
Reakcja jest najgorszym stanem ludzkim: zawsze czeka na akcję.

Czy fakt zapomnienia, że się było dzieckiem, jest dowodem na dorosłość?

Miłość dla wielu jest co najwyżej zachwytem.

U źródeł niejednego sukcesu leży nie tyle pewność, ile prawdopodobieństwo.

JEREMI JERZY WOJTEKUNAS



BUNTOWNICY BUNTOWNIKAMI —
A PRZEWOD NA DŁAŁ SWOJA, PROGA!

miło, że ...

...już pół roku w witrynie Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy eksponowana jest stała wystawa rysunku satyrycznego i trzech aforyzmów naszych współpracowników (m. in. Klarzak, Gosiewski, Motas, Jagodziński — ojciec witryny) którzy co dwa tygodnie starają się pokazywać satyrę wrocławską, współczesną i zaangażowaną...

...w tym roku odbędzie się we Wrocławskim Klubie Związków Twórczych druga już Kwiećnica Satyryczna, integrująca wszystkich wrocławskich satyryków — bez względu na pokolenia, uprawiane gatunki i sposoby przekazu.

**ZADNYCH DOWCIPÓW
SŁYSZCIE ZADNYCH !!!
NAWET TYCH MAŁO ŚMIESZNYCH!**

-10/75